

W mniejszych miasteczkach kobiety powinny prowadzić według nowoczesnych zasad hotele, pensjonaty, łaźnie, biblioteki; powinny być inspektorkami zdrowia publicznego, higienistkami szkolnymi pielęgniarkami w przychodniach specjalnych i szpitalach. Mogą być rzemieślniczkami: oprócz krawiectwa, bielizniarstwa, hafciarstwa, szewstwa, uczą już obecnie szkoły zawodowe zegarmistrzostwa i złotnictwa. Zawody te dają kobiecie stanowisko bez porównania bardziej niezależne, niż biuro, mogą być nawet uprawiane w ramach życia rodzinnego.

Zaniedbane są też u nas dziedziny handlu i kupiectwa, mimo, iż praktycznie tak wiele kobiet pracuje w sklepach własnych lub cudzych. Ale pracują bez fachowego wykształcenia, więc niedołącznie i nieprodukcyjnie, jakkolwiek mają naogół w tym kierunku dużo wrodzonego sprytu.

Z zawodami handlowymi, z agentkami ogłoszeniowymi, komiwojażerkami, wkraczamy na tereny wielkomiejskie. Tutaj nasuwają się specjalnie kobiece przemysły, związane z modą: kapelusznictwo i modniarstwo, fryzjerstwo, masaż leczniczy i kosmetyczny i bardzo odpowiednie dla kobiet rysownictwo i malarstwo na usługach kompozycji modnych strojów, umeblowań, w fabrykach porcelany, tkanin, w przemyśle graficznym i ogłoszeniowym (reklamy). Bardzo niewyzyskane jeszcze pole fotografii.

Wszelkie warsztaty rzemieślnicze, jakie powyżej wyszczególniliśmy. Zawody w służbie zdrowia publicznego. Hotelarstwo, cukiernictwo, kucharstwo zawodowe, dziś traktowane przez wiele pań z „lepszych sfer“, jako jedyny ratunek w biedzie, niedołącznie prowadzone „stołowanie“. Wszelkie roboty ręczne. Kobiety w laboratorjach chemicznych, aptecz-

nych zakładach badań żywności, bardzo są pożądane. Oczywiście, wychowawczynie i ochroniarki. Byłoby doskonałą nowością, gdyby ze szkół gospodarstwa domowego wychodziły niewstydzające się swej roli „pracownice domowe“, które niewątpliwie byłyby bardziej cenione, niż gosposie i służące, których całą mądrością jest długoletnia praktyka, bez żadnego zrozumienia zasad higieny i czystości w gospodarstwie i kuchni.

Osoby, których wykształcenie sięgnęło kilku klas szkoły średniej, mogą myśleć o wyszkoleniu się jako sekretarki stowarzyszeń, kierowniczki świetlic dla młodzieży, instruktorki oświatowe, bibliotekarki, pracownice spółdzielni, administratorki zakładów opiekuńczych, kolonij letnich, obozów młodzieży.

Niewątpliwie znajdzie się wiele jeszcze specjalności, tu niewymienionych, które mogą dać kobietom pracę i zarobek, a przytem większą samodzielność, większe korzyści materialne, niż posada biurowa, nie mówiąc już o tak niesłychanie ważnej społecznie i wartościowej indywidualnie rzeczy, jaką jest uwzględnienie w pracy zawodowej zdolności i skłonności, właściwych danej jednostce.

Praca fizyczna i rzemieślnicza jest dziedziną, którą powinny doskonalić kobiety inteligentne i mające przygotowanie zawodowe. Kwestja szkół i kursów zawodowych postępuje i wciąż rozwijać się będzie pod naciskiem gospodarczych konieczności życia. Pozbądźmy się niemądrych przesądów o wyższości pracy biurowej nad innymi zawodami. Niech hasłem w pracy zarobkowej stanie się rozwijanie i wykorzystanie wrodzonych zdolności i indywidualnych skłonności, szeroka inicjatywa i odwaga w tworzeniu rzeczy, których jeszcze nie było! *Jadwiga Krawczyńska.*

J. ROMANOWSKA.

## OPIEKA HIGJENICZNA NA WSI W ANGLJI A U NAS

We wrześniu 1927 w czasie pobytu mego w Anglii zwiedziłam East Sussex, jedną z rozległych prowincyj tego kraju, liczącą 260 tysięcy ludności.

Celem wyjazdu mego było zaznajomienie się z organizacją opieki higienicznej małych miasteczek i wsi, od lat kilku wysoko postawionej w Sussex. Spędziłam kilka dni w Hayword Heath, miasteczku o 10 tysiącach ludności, skąd robiłam wycieczki do pobliskich osiedli wiejskich. Miejscowe opiekunki zdrowia objaśniły mi administrację powiatu oraz przedstawiły szczegółowo zakres swego działania. Powiat podzielony jest na okręgi sanitarne, w których skład

wchodzi 3 miasta, następnie 10 okręgów podmiejskich i 12 wiejskich. Władza sanitarna spoczywa w rękach Departamentu służby zdrowia przy Wydziale powiatowym, a urząd ten ześrodkowuje wszystkie działy opieki zdrowotnej nad ludnością, a więc opiekę nad dzieckiem i matką, higienę szkolną, walkę z gruźlicą i zakaźnymi chorobami, opiekę nad położnymi, umysłowo chorymi, ślepyimi oraz nad stanem sanitarnym miast i osiedli. Z departamentu zdrowia płyną wszystkie instrukcje do odnośnych instytucyj w okręgach, ściśle zaś współpracuje z Urzędem powiatowy Związek Pielęgniarski na prowincję Sussex, którego zada-

niem jest szkolenie personelu pielęgniarskiego, czuwanie nad pracującymi pielęgniarkami, oraz zakładanie pomniejszych filij Związku w okręgach. Stowarzyszenia te utrzymują personel pielęgniarski z rocznych składek członków, na których zapisują się mieszkańcy, chcący korzystać z opieki fachowej pielęgniarskiej na wypadek choroby. Dziś w Anglii ludność stoi na tak wysokim stopniu kultury, że po miasteczkach i wsiach zabezpiecza sobie pomoc pielęgniarską w chorobie, rozumiejąc całą doniosłość tej opieki. W prowincji Sussex zatrudnionych jest około 120 pielęgniarek i 150 położnych, wyszkolone tak jednych, jak i drugich jest długoletnie i gruntowne; to też spełniają one należycie swoje obowiązki, są opiekunkami zdrowia w całym słowa znaczeniu. Przez Stacje opieki oraz nadzór higieniczny w szkołach opiekują się dziećmi od pierwszych dni życia do lat 14, następnie udzielają rad i wskazówek matkom, propagują higienę w domach prywatnych i drogą pogadarek popularnych, najwięcej jednak czasu poświęcają pielęgnacji chorych.

Towarzysząc pielęgniarkom w ich codziennej robocie, naocznie się przekonałam o dużej wartości społecznej ich naogół niepozornej pracy. Przy odwiedzaniu chorych wnoszą ze sobą pogodę, kształcą w najprostszych zasadach higieny mieszkań i osobistej, często przychodzą z dobrą radą w troskach rodziny, uczą wychowywać dzieci, są tym duchem opiekuńczym, życzliwym i wyrozumiałym, to też cieszą się dużym zaufaniem i praca ich daje realne wyniki. Tak w okręgach miejskich, jak i wiejskich, spotyka się pielęgniarki zdrowia publicznego zawsze na posterunku — gotowe pośpieszyć na wezwanie chorego, niezależnie od tego, czy będzie to właściciel pięknej willi, czy też robotnik, żyjący z dziennego zarobku; każdy członek Stowarzyszenia ma równe prawo korzystania z tej dobroczynnej opieki.

Muszę dodać, że wieś angielska, a wieś nasza — to dziś jeszcze jakby przeciwiegle bieguny: czystość; zachwycają go wzorowe drogi i środki lokomocji, higieniczne lokale szkolne, place sportowe, a głównie — zdrowe mieszkania; pomimo tych, jak dla nas, zdawałoby się, idealnych warunków, naród angielski nie zadawania się tym stanem rzeczy i dąży stale do podniesienia zdrowotności rasy, czego dowodem choćby te okręgi sanitarne, o których wspominałam.

Dla kontrastu przedstawię w krótkości to, co się u nas robi na polu higieny naszych miasteczek i wsi, bo od kilku lat sprawa uzdrowotnienia naszych warunków zajmuje żywo grono lekarzy-higienistów i praca zapoczątkowana rokuje szybki rozwój we wszystkich dzielnicach kraju. Od r. 1924 w pow. Skierniewickim powstał pierwszy okręg sanitarny

małomiasteczkowo-wiejski, zorganizowany z ramienia Departamentu Służby Zdrowia, w 1926 — drugi okręg w powiecie Warszawskim, w 1927 — w Będzińskim; mamy więc 3 powiaty w Polsce, objęte opieką higieniczną.

Okręgi polskie mają inny charakter od pokrewnych im angielskich: u nas praca koncentruje się w tak zwanych Ośrodkach Zdrowia, czyli domach, grupujących pod jednym dachem poradę dla niemowląt i matek, przychodnie przeciwgruźlicze i jaglicze, przeciwalkoholowe i weneryczne, oraz w niektórych ośrodkach — poliklinice szkolnej.

Celem Ośrodka jest w pierwszej linii zapobieganie chorobom, lecznictwo stoi na drugim planie. Lekarze-specjaliści w działach wspomnianych udzielają porad w dni oznaczone, zaś wyszkolone pielęgniarki, oprócz pomocy przy badaniach, odwiedzają rodziny, zapisane do ośrodka, szerząc na terenie domu zasady higieny, pouczając, jak walczyć z chorobami społecznymi, a więc z gruźlicą i jaglicą. Wchodząc w warunki społeczne rodziny, pielęgniarki wychowują poniekąd otoczenie, uczą matki, jak chować zdrowo niemowlęta i dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym. Bardzo ważnym działem pracy ośrodka zdrowia jest propaganda zdrowia zapomocą rozdawnictwa ulotek, odczytów, pogadarek z przezroczami, kursów. Najważniejszym czynnikiem, zapewniającym instytucji rozwój i powodzenie, jest wywiad społeczny na terenie domu osoby zarejestrowanej w ośrodku. Ośrodki zdrowia szybko zjednały sobie zaufanie ludności. Są w prowadzeniu ich duże jeszcze braki z powodu małych funduszy i braku personelu, ale jest nadzieja, że z biegiem czasu trudności te ustąpią, samorządy przyjdą z wydatną pomocą, a cztery szkoły pielęgniarskie w Polsce dostarczą kandydatów wyszkolonych.

Okręgi wiejskie zorganizowane są jedynie w powiecie Skierniewickim w liczbie 4; narazie są to ambulatorja wiejskie, gdzie lekarz, dojeżdżając, udziela za niską opłatą porad ogólnych, ale już dziś zaznaczona jest w nich silnie akcja zapobiegawcza. Higienistka i akuszerka w jednej osobie opiekuje się chorem na gruźlicę i jaglicę, oraz niemowlętami, dzieckiem szkolnym i matką w promieniu 5 km. od ośrodka; do niej należą szkoły powszechne okoliczne, w których prócz przeglądów czystości uczy dzieci higieny osobistej, miewa konferencje z rodzicami i zbiorowe pogadanki.

Dziś już pochwalić się możemy, że na głuchej wsi polskiej jest stróż higieny i tam, gdzie do niedawna znachor i zabobony wielmożnie panowały — coraz częściej przenikają zdrowe zasady higieny i ta najbardziej dotąd upośledzona część kraju zamienia się powoli w ośrodek kulturalnego życia.



FELICJA KRUSZEWSKA

## KONIK Z JARDIN DES PLANTES

W Jardin des Plantes mały konik, przywieziony z Azji środkowej,  
zachorował doprawdy bardzo niebezpiecznie.

W bok się zwałił i o piasek, ścięty szronem, uderzał głową  
uparcie i niedorzecznie.

Para z nozdrzy, potargana na wietrze,  
krzyczała, że konik jest chory.

Mgłą płakało ostre, zimne powietrze.

A no — zeszyli się różne doktory.

Dzieci nosy płaszczyły o kraty:

„oh — oh — regardez ce p'tit cheval“

A mgła chciała podesłać maty  
z włosów miękkich i długich, jak szal.

Położyli go wreszcie na desce,  
przyprószonej złotarą słomą,  
zobaczyli, czy żyje jeszcze,  
bo leżał tak nieruchomo.

Zarolekli go do stajenki  
cieplutkiej, dachem przykrytej,  
pożegnali kiwnięciem ręki:  
był: i już leży zabity.

Można przybyć z daleka — przez ziemie — otchłanie — mosty  
a taki jest koniec podróży.

To przecie takie zwyczajne i prawie najbardziej proste —  
tylko przelknąć lzy i pójść —  
bo i pocóż czekać jeszcze dłużej?

## S O W A

Sowa z szarej włóczki, przywieziona z kraju,  
niczemu się dziwić nie miała zwyczaj.

Wszystkiego wysłuchać była wciąż gotowa,  
lzy zbierała w włóczkę bez jednego słowa,  
wytrzeszczała oczy błyszczące i duże  
na serwetkę, całą w perkalowe róże.

Nie zrobiła w różach ani jednej dziurki,  
choć dziób miała ostry i ostre pazurki.

W każdym oku miała po jednej iskieierce,  
a pod szarą włóczką żywe, ciepłe serce.

Patrzę w oczy sownie i trochę się boję.

Skądże w niej to serce? Może wzięła moje?

Bo tak chłodno w piersi pod cieplutką chustką,  
bo kiedy odetchnę, to dławię się pustką.



EWA SZELBURG

2)

## OBRĄCZKA

(fragment z powieści „Przed srebrnym mikrofonem“)

Beata wstaje porywczo, wyciąga pustą, zziębniętą rękę i końcami palców dotyka błyszczącej klamki.

W końcach palców, w dłoni, w ramieniu, w całej sobie uczuła nagły wstrząs!

Cofnęła się lękliwie.

Usiadła znowu.

Nie ma już czego uczepić się oczami. Pokój po odejściu narzeczonego jest tak pusty, jak dzban, opróżniony z wody. Bezradnie latają po nim spragnione, głodne oczy.

Wtem w rogu okna ujrzała Beata mały kryształowy spodeczek. Tu Michał strząsnął popiół z papierosa, bo mu podała ten spodek zamiast popielniczki.

Lecz gdy teraz z ustami, rozdartymi nagłem westchnieniem, schyliła się nad tym popiołem, wzbudzony oddech jej uderzył w szczyptę prochu i rozwił ją bez śladu.

Więc znów wróciła na swoje miejsce na sofie.

— Jakże to może być, aby Michał tak całkiem odszedł stąd, skoro przyrzekli sobie, że zawsze będą razem? że się pobiorą?

Zaprzagnęła narzekać w głos! zaprzagnęła szlochać! Już załamuje do lamentu ręce... gdy oprzytomniło ją dotknięcie własnych dłoni:

— Michał je całował!...

I Beata patrzy radośnie na swe drobne dłonie. Przygląda się z zachwytem swoim palcom: na koniuszkach palców pełgają jeszcze różowe światła...

Wzrok z palców spływa z kolei na kolana: na nich Michał opierał czoło przed odejściem... jeszcze nie wyglądzilo się załamanie sukienki nad obrąbkiem.

Sukienka ta jest jasno popielata, gładka i lśniąca. Właściwie sukienka ta jest srebrzysta. Beata przypomina sobie odbicie tej sukienki w źrenicach Michała, sukienki i całej siebie, różowej, roześmianej.

— Jakam ja ładna w jego oczach! — ucieszyła się. — A w lustrze?

Podbiegła do lustra. Zapatrzyła się na siebie po raz pierwszy w życiu. Przyglądała się sobie, radosna z tego poznania.

Aż zwierzyła się wreszcie pięknej dziewczynie z lustra:

— Jestem szczęśliwa.

Ale nie mogła utrzymać w sercu tajemnicy. Zwierzyła się pięknej dziewczynie z lustra i z tego także:

— Kocham.

A stare lustro rozbłysło całe i twarz dziewczyny uczyniło jeszcze złocistszą, usta jeszcze różowsze, oczy jeszcze świetlistsze.

Przyszły teraz dnie i noce całkiem nowe. Noce były posilne. Budziła się z nich wypoczęta. Dnie przychodziły pełne rześkiej, zdrowej radości. Radowała się niezmiernie każdą godzinie, bo każda godzina przynosiła jej coś nowego: czekanie na Michała, jego przyjście, jego głos, jego najdroższe spojrzenia... a potem jego uśmiechnięte „do jutra“, tęsknotę za nim wieczorną, nocny sen o nim i... owo jutro radosne.

Polubiła teraz mnóstwo rzeczy: polubiła swoje ręce za to, że tak skwapliwie otwierały Michałowi drzwi; polubiła swe nogi, że tak rączo biegły i a jego spotkanie; polubiła swe oczy, że go wciąż wypatrywały, uszy, że nadśluchiwały: czy już idzie? że gdy odszedł — słyszały go jeszcze...

Nauczyła się cenić puszystość i zapach swych włosów, gładkość policzków, nawet kolor i krój sukienki, tak bardzo miłe mu wszystko.

— Jak to dobrze, że ja jestem! — mówiła naiwnie do tulącego ją narzeczonego — bo cobyś ty tobił, gdyby mnie nie było?

— Znalazłbym cię tak, jak cię znalazłem — odpowiedział poważnie.

Mówi prawdę. To on ją znalazł pierwszy, a teraz ona odnajdywała siebie.

— A może wolałbyś, żebym była brunetką i mądrzejszą?

— Skoro znalazłem cię taką właśnie, to znaczy, że taką chciałem — powiedział prawie surowo.

A potem zaraz przypomniał, że już minęło trzy tygodnie od ich rozmowy, wyszły trzy zapowiedzi i jutro rano ślub.

Nie obchodziło ich wcale, co mówili o tem jego i jej znajomi.

Rodzina?

Michał powiedział tylko tyle: — Pojedziemy tam razem potem.

A ona dostała dwa listy i małą paczkę. W liście z małego miasteczka, na papierze, przesiąkniętym zapachem świec, kataplazmów gorczycowych i terpentyny, pisała babka Domicela:

„...nie pytałaś się nigdy nikogo, I teraz, przed tem, nie spytałaś się. Widocznie, sama wiesz najlepiej, To już ci nic o tem nie będę pisać, bo na co? Wreszta i ś. p. matka twoja była taką samą. A jak będzie okazja, to ci przyślę dwie kapry włóczkowe na łóżka. Zrobiłam na drutach. Ale ty pewnie w takich nie gustujesz“...

W liście z Paryża było kilka słów ojca, że się zgadza i — dopisek jego żony, że się oboje cieszą i przesyłają życzenia.

Do tego była dołączona paczka z jedwabnym kompletem paryskiej rozpustnej bielizny.

Beata i te listy i tę paczkę schowała do szuflady, zdaleka, zdaleka od pudełeczka z fotografią matki, leżącego zaraz pod ręką w prawym rogu szuflady.

Po raz pierwszy w przeciągu tych trzech tygodni przyszło jej na myśl, że gdyby żyła matka, to to, co się stało, nie stałoby się tak, a jakoś inaczej, całkiem inaczej!

Rozplakała się.

Łzy obeschły jej dopiero w wagonie.

Są tu razem. Są tu sami.

Trzymają się za ręce i z oczu do oczu podają sobie uśmiech radosny: Nareszcie!

Beata nie pyta wcale, dokąd jadą? Dlaczego ma pytać? Michał ją wiezie.

Mijają kwadranse.

Mijają godziny.

Beata i Michał nie mówią do siebie nic. Cóż mają sobie mówić? Że się kochają? O tem wiedzą. Że zawsze będą się kochać? Tego są pewni.

Już nawet nie potrzebują sobie patrzeć w oczy. Wystarczy, że się trzymają za ręce.

Pociąg niesie ich naprzód i naprzód. Świat otwiera się przed nimi. Świat nie ma już dla nich granic, nie ma przed nimi tajemnic: coraz nowe lasy rzuca im przez okna wagonu, coraz bystrzejsze przewodzi rzeki, przypędza coraz dalsze góry, nieznaną wieś i miasta czyni bliskie oczom i jeszcze bliższe sercu.

Beata wciąż jeszcze nie pyta, dokąd jada. To on, Michał, ją wiezie. To on stalowem ostrzem zwin rozkroił świat i podał go jej, swojej żonie.

A teraz temi samymi mocnymi dłońmi rozciela troskliwie puszysty pled na twardej wagonowej kanapie, układa miękką poduszeczkę:

— Połóż się, maleńka. Śpij.

— Spać? Teraz?

Beata potrząsa głową

... nie uśnie...

— Spróbuj — nalega Michał i prawem ramię niem obejmuje ją opiekuńczo.

Beata posłusznie przymyka oczy, ale sen nie przychodzi.

Tymczasem ramię Michała staje się coraz twardsze, coraz bezwładniejsze. Powoli, powoli przestaje być miękkim, przytulnym oparciem, a zmienia się w ciężar gniotący.

Beata uchyła powiek.

W wagonie mrok. W mroku tym widzi Beata

u swego boku postać mężczyzny, skręconą przez twarde, prędkie sen.

Wszedł konduktor z latarką. Zapalił lampę i wyszedł pocichu.

Mężczyzna, śpiący przy niej, westchnął przez sen niecierpliwie, ale się nie zbudził. Beata patrzy dalej na jego rozrzucone ręce, zastygłe w jakimś obcym jej, nie wspólnego z pieczęcią nie mającym ruchu. Patrzy na twarz nieruchomą, pełną wyszłych we śnie na jaw niezrozumiałych, nowych płaszczyzn i linii. Patrzy na usta, mówiące milczeniem jakieś zgoła obce, niemilosne rzeczy.

Ostrożnie, lekliwie odsuwa się Beata od tego śpiącego mężczyzny.

Co ona tu robi sama z nim w tym przedziale?

I przypomina sobie nagle blask świec i krzyż surowy, w tym blasku rozpięty, i własne, dobrowolne, nieodwołalne słowa:

— ...Ślubuję ci miłość, wierność, posłuszeństwo... że nie opuszczę ciebie aż do śmierci...

Straszliwy, zwierzęcy lęk, lęk, miażdżący wszelki rozsądek, zwałił się na nią i nieprzytomną pchnął do drzwi wagonu...

Otworzyły się z trzaskiem prosto w przepaść nocy.

Mroźny wicher, kłusujący u boku pociągu, wdarł się na odziane stopnie i z całej siły ciepnał ją w twarz kosmatą pięścią, a wiorstowe słupy obcej drogi ostremi żądłami zbiegły wszystkie ku jej struchlałemu sercu.

Beata krzyknęła, zachwiała się, upadła.

Ocknąwszy się na ławce wagonu, ujrzała nad sobą jasne oczy Michała, przezroczyście, znajome do dna, do dna!

Zanurzyła się cała w tem jego spojrzeniu, zatopiła na długo, na długo, że gdy przyszła całkiem do siebie, nie pamiętała już nic, prócz tego jednego: że jest z nim, szczęśliwa. Oto ręce Michała silne i ciepłe tuli ją miękko do szerokiej piersi, a usta mówią najbliższe sercu słowa:

— Moja — moja — moja.

Więc i jej blade wargi, znowu szczywienione, odpowiadają wiernem echem:

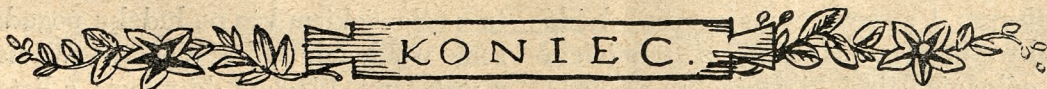
— Mój — mój.

Szczelnie zamknięty wagon równo i gładko niesie ich teraz, splecionych w mocnym, ufnym uścisku, przez czarną otchłań nocy do różowego świtu nad coraz bliższym, białem miastem.

Pierwszy promień słońca, jaki wpadł w pędzie przez okno do wagonu, rozpalil złotą obrączkę na serdecznym palcu Michała.

Beata uśmiechnęła się i swój serdeczny palec, też ubrany w obrączkę, zbliżyła do ręki męża.

Promień słońca stopił te dwie obrączki w jedno.



M. H. SZPYRKÓWNA

4)

## SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

I dopiero z czasem się dowiedziałam, że ciotce zawdzięczałam największe szczęście, największe dobro, jedyną prawdziwą „karjerę” mego najdziwniejszego małżeństwa: Hanuškę! Gdyby nie wzmianka ciotki i związane z nią nadzieje spadkowe mego męża—(jakże nic, nic nie wiedziałam! Jakże bardzo, bardzo byłam naiwną) — możeby Hanuška nigdy nie przyszła na ten świat? A wtedy...

Nie! Nawet dziś nie mogę myśleć bez zimnego dreszczu, cobym robiła wtedy? Los, krzyżując nawet, jest miłosierny w swem okrucieństwie. Moje najmniejsze, ukochane biedactwo! Lubiała, jeszcze w kołysanym łóżeczku, zanim chodziła, chwycić paluszkami jaki zabłąkany włos z mego warkocza, kiedy się nad nią pochylałam, i ciągnąć go z radosnym popiskiwanym ku sobie, zmuszając, abym się pochyliła. I pochylałam się, oczywiście, i całowałam postokroć maluchne piąsteczki, srogo zaciśnięte dokoła nikłego pasemka włosów, i kładłam głowę na jej poduszczyk, i szeptałam tysiąc bezsensownych, macierzyńskich, niepowtórzonych słów... Moje maleńkie ukochanie! Nie wiedziała wtedy — może i teraz nie wie?... wiele razy utrzymała temi piąsteczkami, roztwierając je i zamykając, jak kwiatowe płatki, wiszące dosłownie na włosku moje życie?... Ale czyż mogłam, czyż jakakolwiek zresztą matka mogła być tak potworna, aby złemu wilkowi - życiu, szczerzącemu krwawe kły, rzucić na pastwę-takie samotne biedactwo, tylko dlatego, aby móc uciec w cichą przystań śmierci? Więc — musiałam żyć!

Ale wybiegam naprzód. Ach, wtedy podróż nie wydawała mi się jeszcze drogą krzyżową! Auto stanęło najpiękniejszą bodaj w Polsce szosą ku Czorzystynowi. Widziałam blisko przy sobie i coraz bliżej wspaniałe oczy mego męża, rozpalające się nieznanem mi zarzewiem. Ręka jego coraz ciasniej opasywała mnie w pól. Zaczynałam dyszeć coraz gwałtowniej. Zaczynałam się bać. Zaczynałam drżeć. W pewnej chwili porwał mnie na kolana i blisko pochylił nademną twarz.

— Mogłabyś być cudowną kobietą, wiesz? A ja tego na żarty nie mówię! Ale ten twój zaścianek żyje w tobie, mimo wszystko! Ja cię przerobię, ja cię muszę przerobić! Przecież nie będziemy hodowali gołębi, ani zakładali ochronki!

Nie wiem, czemu to mnie zmartwiło. Lubiałabym bardzo gołębie! Ale w tej chwili auto stanęło i musieliśmy się przesiadać na łódki. Wspaniała cieśnina Dunajca otoczyła nas z dwu stron skalnymi zboczami, pełnymi malowniczego i surowego majestatu. Łódź była przybrana kwiatami i zielonością z namiotem w środku. Bose, półnagie dzieciaki, stojąc po ramionach

w wodzie z obu jej stron, trzymały zieloną arkę z wici, jak weselny wirydarz, i sypały na nas kwiatami, wołając cienko:

— Na długie lata! Na wielkie szczęście! Niccń żyją! Na zdar!

— Jednak się zwiedzieli... — zauważył mój mąż, wyjmując portmonetkę i rzucając naprawo i na lewo drobne srebro. — Oni tu prawie mieszkają w wodzie, czyhając na takie okazje. Podoba się mojej królownie? Umyślnie obrałem tę drogę. —

— Ślicznie!... — odpowiedziałam ze szczerym zachwytem, obrzucając wzrokiem cieśninę rzeki między ciemnymi zboczami, poszarpanymi w skały i porośniętymi starodrzewiem, z wystrzelającą tu i tam wieżycą niewidzialnych zameczków czy ruin. — Czy to jeszcze daleko?

— Ach, tuż prawie za czeską granicą! Zamówiłem czółno, żebyśmy mogli przebyć drogę wodą, ni autem. To właśnie była moja niespodzianka! Czy królowna zadowolona? Naprawdę, jak na podróż poślubną... niecodziennie! Przy granicy będzie czekał powóz. A tymczasem — mam wrażenie, że moja pani jeszcze nie raczyła obdarzyć męża nawet urzędowym pocałunkiem?... Teraz nie uciekniesz mi już nigdzie, chyba skoczysz do wody. Ale... nie puszcę!

I po przez mgłę, która przysłoniła mi oczy, słyszałam tylko pod łódką uciekający, cichoszelestny wodny szum. Nie umiałabym powiedzieć, kiedy i za wiele czasu czółno utknęło i głos męża wymówił tuż nademną:

— Niestety, trzeba wrócić do rzeczywistości. Granica!

Tak. Była to granica. Granica, która rozbiła moje życie na dwie połowy!

\* \* \*

— Franciszku?

— Słucham pani baronowej?

— Franciszku, czy pan już wrócił z polowania?

— Nie wracał, proszę jaśnie pani. Pan baron mówił Waławowi, żeby go na noc nie czekać, bo zostanie u tych państwa, co to z nimi poluje. Waław tam popołudniu powiózł walizę pana barona.

— Ach, tak... Czy Franciszek napalił w bibliotece? Tu jest tak zimno!

— Waław nie daje, proszę jaśnie pani! Powiada, za dużo drzewa. Dziś palono w jadalni i u pana

— Pocóż u pana barona, skoro i tak nie wróci?

— Czy ja to wiem, proszę jaśnie pani? Albo to tu z człowiekiem kto po ludzku pogada?... U pana barona wiadomo: tylko Waław. Waław do miasta z wekslami, Waław do miasta z listami, Waław po

żyda, Waclaw po wino... Tu dwóch jest panów, przepaszając łaski pani: jeden — pan baron, drugi — pan Waclaw! Tfu! Toć i u naszego pana nieboszczyka kamerdyner przecie był, ale był sługa, nie pan! Znał swoje miejsce, i z nami, innymi, był jak przynależy: nie za pan brat, bo co kamerdyner, to nie zwyczajny lokajczuk, za jakiego wtedy służywałem, ale też i nie jaśnie pan, wiadomo! A tu pan baron, wstyd powiedzieć, więcej tego Waclawa uważa, jak... jak... Et! Co tu dużo mówić! Niech jaśnie panienka... te!... chciałem mówić, jaśnie pani baronowa odkryje się czem cieplejszem, bo w tych murach to i zdrowego człowieka po kościach chłodem kole, nie dopiero takie, pozał się Boże, chucherko!

— Franciszku, tyle razy prosiłam, że nie chcę słyszeć podobnych krytyk o moim mężu! Franciszek, przyjeżdżając tu, obiecywał, że będzie się mną opiekował, bo przecież służył jeszcze u moich rodziców, a teraz mam jeszcze... przez Franciszka... same przykrości!...

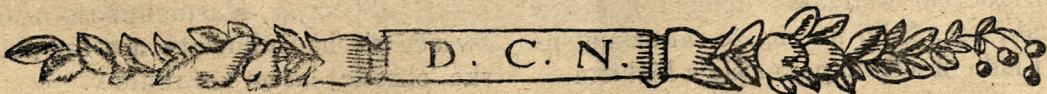
Łzy mi przerywały głos, jak było często, jak było coraz częściej! Ach, czułam się taka chora i zwłaszcza — taka porzucona i sama! Wiedziałam dobrze, że stary sługa ma rację, że kamerdyner mego męża w tem złoszczęsnem rumowisku, które nosiło pompatyczną nazwę zamku, sam jeden tylko miał wpływy i głos decydujący nawet w sprawach tak śmiesznych, jak — dziwnie mówić — napalenie raz więcej lub mniej w mojej własnej sypialni!... I nie miałam na to żadnej rady. Ten milezący, czelnie uśmiechnięty, bladej Waclaw w swoim szamerowanym uniformie (pełnił wobec mego męża także i obowiązki strzelca) — wysłuchiwał wszystkiego, co mu mówiłam, kłaniał się, wychodził, bez hałasu zamykając drzwi — i absolutnie nie kierował się niczem poza rozkazami barona lub tem, co przypuszczał, że baronowi by odpowiadało. Znał swego pana na wylot, i, mam wrażenie, znał go nieskończenie dokładniej, niż ktokolwiek na świecie — a ja, będąc jego żoną, miałam najmniej szans, aby stworzyć sobie o nim jakieś trafne zdanie. Mój Boże! Jakież zresztą mogłam o wszystkim, co było, mieć zdanie w moje ośmnaście lat, z których tylko trzy spędziłam poza małą naszą leśniczówką na Kresach!

Franciszek orjentował się, mimo swoje lat blisko siedemdziesiąt, widocznie lepiej. Że nie cierpiał z całej duszy Waclawa, nie ukrywał zbytnio, chociaż życia mu to, oczywiście, nie umiłało: nie było szkany, jakiejby wielkorząda biednemu oszczędził. A nawet ja wyczuwałam, że w tym samym lub większym stopniu niecierpi — mego męża, jakkolwiek usiłował to bardzo niezgrabnie ubierać w pozory koniecznej lojalności. Robił to z przywiązania do mnie: uważał

mnie za rodzaj gołąbki w sępiem gnieździe, a był za stary i za słaby, aby móc skutecznie mnie bronić. Kto wie? Może nie był daleki od prawdy? Kiedy widzę siebie, samą jedną w ogromnym, zrujnowanym, sypiącem się czerwoną cegłą i tynkiem wywieisku, które kiedyś może i było pałacem na swój sposób: kiedy widzę siebie taką, jaką mnie odbijały zwierciadła, wmurowane do ścian tu i tam — okrytą zawsze szalem od przenikliwego chłodu, zaczązonego po grubych murach, pochyloną ciężarem opuszczenia i choroby, której nikt nie leczył i nikt nie pielęgnował — wyglądającą od okna do okna, czy mąż nie wraca, pobladła z zimna i zdenerwowania, zamierającą w tych rumowiskach, jak kwiat, zamknięty w piwnicy — robi mi się dziś jeszcze siebie żal! O, tak! Miałam prawo być nieszczęśliwa. Nie było tam dla mnie nikogo! Jedyna kobieta, która gotowała i sprzątała mój pokój, była to starsza już, ponura czeszka, którą, naturalnie, Waclaw wynalazł gdzieś w pobliskiej wsi. Nie umiałam się z nią nawet, poza najkonieczniejszymi słowami, porozumieć, a zresztą, dla niej, jak i dla nikogo, nie byłam żadnym autorytetem. Tolerowano mnie niejako, no, bo jednak byłam żoną ich pana! Ale gdybym była starsza i mądrzejsza, wyczułabym poza tą pozorną, bardzo powściągliwą grzecznością rodzaj wyczekującej niechęci, która dałaby do myślenia. Byłam na stanowisku przypadkowej lokatorki, którą się znosi dlatego, że wiadomo, iż lada dzień będzie musiała zwolnić lokal.

A mój mąż...

Ale jest to osobna rubryka do omówienia. I zresztą... czy jest do omawiania? Czy fakty wymagają wyjaśnień? Mówią za siebie same, wymową okrutną, jak stalowy pręt! Ale wtedy — wydawało mi się, że coś wyjaśnić trzeba koniecznie, że dzieje się jakieś potworne nieporozumienie, że przecie ożenił się ze mną z własnej woli, więc chyba z miłości, jeszcze tak niedawno, zaledwie kilka miesięcy temu! I zdawało mi się przez jakiś krótki czas, że jest to istotnie — miłość! Ach, nie miałam wtedy pojęcia, że noc i dzień w życiu dwojga ludzi mogą żyć osobnymi drogami! Myliłam się! I dni moje schodziły na krwawem, rozpaczliwem i straconem szukaniu tego, co w nocy ukazywało mi się, jako miłość! Nie znajdowałam jej — mąż mój wogóle przebywał w domu tak rzadko! W trzy czy cztery tygodnie po ślubie, po owej nieprawdziwej prawie w swem pięknie podróży łodzią przez cieśninę Dunajca tu, na czeską stronę — zaczął powoli ginać z domu. Miał interes w mieście, miał termin wekslowy, miał obiad w klubie, miał polowanie w sąsiedztwie. Miał tych polowań, pikników i dywersyj coraz więcej, i moja obecność nie była na nich wogóle przewidziana: wytłumaczył mi to wkrótce.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## PRACOWITY DZIEŃ W KRYNICY

(Hagar na puszczy, Źródło posażnych, jedynaczek Pani Róża z Tarnopola też jest fotogeniczna)

— Jeżeli pani jedzie do Krynicy, niech się pani zatrzyma w willi Z. (tu wymieniono nazwę egzotycznego kwiatka). Dom nowiućki, skanalizowany, centralne ogrzewanie, w każdym pokoju woda gorąca i zimna. Jednym słowem — raj nowoczesnego komfortu.

Uśluhałam. Przyjeżdżam do „raju”. Już na schodach uderza mnie charakterystyczny odór, z zapachem goździków nicejskich i mimozy nie mający nie wspólnego.

— Co to? Kanalizacja się u was zepsuła? — pytam portjera.

— Cóż znowu! — odpowiada mi z oburzeniem ten człowiek przewrotny. — To tylko woda nie dochodzi. „Lwi Gród” wszystko zabiera.

(„Lwi Gród” to wspaniały hotel o 200 pokojach, zbudowany przez Towarzystwo Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych we Lwowie).

W pokoju — Syberja. Kaloryfer szczyrzy do mnie lodowate zęby. Żelazny piecyk z rurą, wpuszczoną w ścianę, budzi rzewne wspomnienie Włoch. Tam również w zimie pękają wodociągi i kaloryfer zamarza. Jakże szybko importujemy obyczaje naszych południowych przyjaciół!

Hoże dziewczę z iskrą zapалу w oczach i z koszykiem węgla w ręku przerywa te rozmyślenia.

— Całuję rączki! Ja tu zaraz napalę. Będzie ciepło, że aż ha!

Piecyk zaczyna huczeć, jak wichur halny. Po kwadransie w pokoju zapanowuje temperatura łaźni. Umywalnia, jak cacko, zachęca do gorliwych ablucyj. Pokręcam jeden kurek, ten z „gorącą” — nie leci, potem drugi, ten z „zimną”. Ani kropli. Rozpaczliwa posucha. Z determinacją naciskam dzwonek w złośliwej nadziei, że i on nie działa. Gdzietam! bestja rechoce urągliwie na cały korytarz.

Wpada opatrnościowa dziewczyna od węgla.

— Całuję rączki! Pani pewno o wodę. Ja zaraz w dzbanku przyniosę, tylko z beczką przywiozę. U nas, na górze, woda nie dochodzi. We „Lwiim Grodzie” też podobno brakuje. (Znowu ten „Lwi Gród”!). Ciśnienia mało. Niema rady, musimy własną studnię wiercić.

Tymczasem sama zawierciła się, zakręciła spódniczka, znikła. Z uchylonych drzwi buchnął aromat amonjakałny.

Wieczorem zaczęło wstrząsać domem miarowe kucie. Twało całą noc. Śniło mi się, że mieszkam na kamieniołomie i lada chwila zapadnę się z łóżkiem.

— Obiecywano nam połączenie z centralnem ogrzewaniem z nowych łaźni — tłumaczyła się nazajutrz zafrasowana gospodyni. — Tymczasem, nic z tego. Musimy nagwałt powiększać nasz prowizoryczny kocioł.

Kucie trwało dalej. A wody jak niema, tak niema. Hagar na puszczy. Czyż u nas w Polsce wszystko musi być prowizoryczne?...

\* \* \*

Dawniej do Krynicy wysyłano tylko aumiczne panny, które rodzice chcieli wydać za mąż, i młode mężatki, beznadziejnie wyczekujące potomstwa. I podobno bajecznie skutkowało.

— Pojechała do Krynicy? Będzie miała dziecko! — mawiały doświadczone matrony.

Płeć brzydka przed wojną reprezentowana była jedynie przez gołowąsę pacholęta i gołogłowych radców dworu, którzy już dawno przekroczyli sześćdziesiątkę. Wobec takiej „młodzieży” zabawy tańeczne przedstawiały dość żalony widok. Dzisiaj czasy zmieniły się na lepsze. Krynica „zmężczyźniała”. Okazało się, że jej wody działają skutecznie nietylko na kobiece dolegliwości.

Oprócz bowiem świeżo odkrytego Zubera, zawsze czynnem jest źródło „posażnych jedynaczek”, radykalnie leczące szeroko rozpowszechnione wśród rodu męskiego suchoty kieszeniowe.

Obok łowców posagowych tłumnie niewiedząją Krynicy narciarze. W dzień przy słońcu rozkwitają raptownie w śniegu pomarańczowe, szafirowe, żółte paki swetrów na czarnych łydżach nóg. A „kiedy zmrok zapada i światła latarń zapłoną”, wówczas uwędzone w górskim wicherze twarze mieniają się nakształt brązowych i miedzianych tarczy nad ciemnymi taflami dancingowych stolików.

Po posadzce suną krokiem black-bottomowym ciężkie narciarskie buty, po których jednak nieodziedzicim kształcie trudno odgadnąć płeć właściciela; tańczą pary męskich spodni z parami damskich spodni, płasa pasiasty sweter z czerwonym, złocista czupryna z błękitnym beretem, z pod którego załotnie błyskają oczy, doskonale dobrane w kolorze do beretu.

„Czy pani Marta jest grzechu warta?” zapytuje płaczliwie saksofon.

— Słyszysz, Martuchna, to o tobie śpiewają! — zwraca się haczykowaty nos ku potężnej górze cielska, obrosłej lasem karakułów.



— Ty potrzebujesz być dowcipniejszy. Moryc — odpowiadają karakuły głosem, zdławionym przez szósty pączek. — Gdzie ty masz pojęcie o godności kobiety?

Najwidoczniej Zuber świetnie robi pani Martuchnie na apetyt i poczucie godności kobiecej, ale znacznie gorzej działa na jej humor.

\* \* \*

Pracowity jest dzień w Krynicy. Za ledwie słońce zacznie chłodzić na śniegach Jaworowej zaróżowiony ze snu policzek, wybija dla kuracjusza najmilsza godzina dnia: godzina kąpieli. Po świeżych, jak poranek, korytarzach Nowych Łazienek zaczynają się snuć stworzenia kudłate: foki, krety, źrebki, antylopy, karakuły, pieszczaniki — jak w dżungli. W wygodnych fotelach klubowych drzemają maruderzy, śniąc o bliskich rozkoszach kąpieli. Czy to woda szumi w miedzianych wannach, czy to perli się białozielony szampan w czarach o barwie jutrzeńki?

Jasnowłose Prozerpiny pogrążają alabastrowe ciała w czarną otchłań borowinowego błotka. To codzienne zstępowanie do Hadesu ma się skończyć całkowitem odrodzeniem, jak w mitologii.

Po wypoczynku — picie wód w oszklonej hali. Każdy smokcze swego Zuberka, Słotwinę, czy Kryniankę przez tęczową, misternie złobioną rurkę, żeby było smaczniej. W południe lekkomyślna młodzież nabija sobie guzy na saneczkach, smakosze zakrapiają lampką wermutu doskonałe „sznytki“ i parówki i „Celerynki“. Ludzie stateczni wygrzewają się na słońcu pod południową ścianą Domu Zdrojowego.

Ponieważ tutaj i przy dwudziestu stopniach mrozu z dachu kapie, więc gwoli uniknięcia niespodzianego prysznicy ławki przysuwa się pod samą ścianę i towarzystwo sadowi się na wygiętych oparciach, nogi spuszczać na siedzenie ławki.

Oto zasiada dostojnie trzech cesarsko królewskich radców, kwiat przedwojennej młodzieży krynickiej. Twarze, jak z dagerotypu. Siwiejące baczki, ówkie. Brakuje tylko halsztuka, któryby podparł te oblicza starannie wygolone i osowiałe z żalu po... austriackich czasach.

Obok trzeszczą żelazne pręty pod pamą Różą z Tarnopola

— Moja pani, i poco ja przyjechałam do tej Krynicy? Jak ja jadę na czeple wody do Baden-Baden, albo do Vichy, to ja widzę nowe twarze, ciekawe twarze. Ale tu? co ja mogę zobaczyć? Te same żydy, co w Tarnopolu.

Mizerna urzędniczka z Bydgoszczy zwierza się sąsiadce z dokonanych sprawunków.

— Kupiłam trochę koronek klockowych. Pani wie, tego się nie prasuje. To się pręży, jak firany.

W puszystym śniegu turlają się kłębuszki pastrej wełny: to dzieci z Warszawy, Krakowa, Poznania. Te już chyba nie będą miały dzielnicowych narowów.

O godzinie pierwszej całe to przelotne piactwo zeskakuje z żerdzi i rozprasza się po pensjonatach, każdy do swego korytka. Między pierwszą a trzecią na deptaku, jak wymiółł. Krynica obiada i trawi.

Od trzeciej na wszystkich drogach ostro zaczynają grzmieć janczary. Mkną wyładowane futrami sanie na Kopciową, gdzie w leśniczówce pije się kawę z tłustymi pączkami i tańczy się przy gramofonie; do Tylicza, gdzie dniem i nocą dwóch chłopów z pałkami stróżuje i zagradza drogę, bo we wsi tyfus; przez Powroźnik na wieś Krynice, gdzie na wzgórzu rozsiała się baniasta cerkiew i twardo gadają, wożący długie pnie smreków, rusyny.

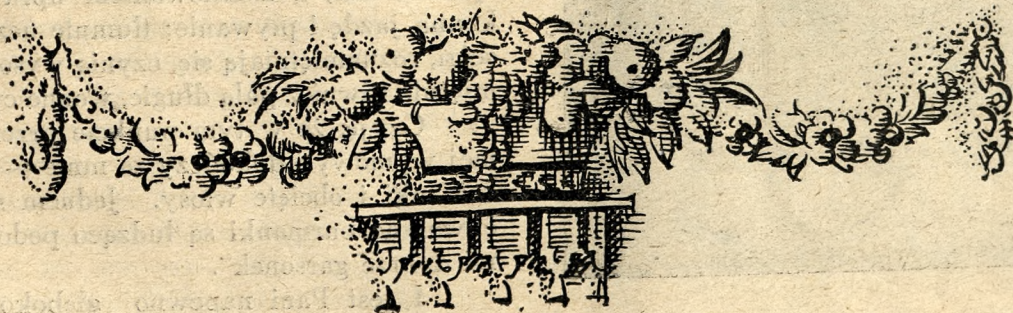
— Ne pide!

Po podwieczorku marzyciele chodzą do kina paść oczy wdziękami „Księżniczki Dunaju“, albo „Wołyżerki z cyrku Barnuma“. Film codziennie inny. Głodu niema.

Późnym wieczorem ludzie wytrwali miotają serpentyny, ciskają w bliźnich piłeczkami, nadymają baloniki na dancinгах Domu Zdrojowego i Lwiego Grodu. Pani Róża z Tarnopola omdlewa słodko w ramionach fortancera. Lada chwila, a rozplynie się i zostanie po niej na posadzce tylko tłusta plama. Nagły huk. To pękł balonik. Pulchne wdzięki pani Róży podskakują asymetrycznie, jak wysadzona w powietrze cytadela tłuszczu. Mąż ścisną porozumiewawczo jej dłoń pod stolikiem.

— Różyczko! jakaś ty fotogeniczna!

A błądy fortancer ociera kroplisty pot z czoła i przy ustronnym stoliku pokrzepia się Baczewskim. Uf! pracowity jest dzień w Krynicy!...



KAMALINI SHRINAGAMIR

## LISTY Z NAD GANGI

(ciąg dalszy)

Gospodarstwo domowe pochłania u nas o wiele więcej czasu, niż na Zachodzie, to też każda kobieta jest niemiernie zmęczona, i trudno jej się dziwić, jeśli woli się rozkoszować chłodem wieczoru, niż śpieszyć na wykład lub zebranie. Oto powód, dla którego kobiety Południa nie biorą tak żywego, jakby mogły i powinny udziału w życiu społecznym i politycznym.

Pod angielską okupacją, gdzie społeczeństwo nasze jest zmuszone do nieustannego stykania się z cudzoziemcami, prawa kastowe nie są tak rygorystycznie zachowywane, a wielu nawet zupełnie świadomie się z pod nich wyłamuje. Inaczej w państwach niepodległych, gdzie każdy najbłahszy i bezsensowny nieraz przejaw tradycji jest poczytywany za ostoję niezawisłości i obserwowany z pietyzmem.

Choć więc ustawodawstwo wyższych kast, zabraniające trzymać służbę, ciąży bardzo na kobietach Południa, nie przyjdzie im nawet na myśl, aby mogły mu być nieposłuszne. To też zajęcia domowe nie pozwalają dziewczętom regularnie uczęszczać do

szkoły, nie pozwala im na to również wczesne małżeństwo i macierzyństwo. Oto powody, dla których procent analfabetek jest i tu bardzo wielki, choć nie tak wielki, jak w Indiach Północnych i Środkowych. Na 1000 kobiet — jedynie 20 — 30 umie czytać i pisać, zaś w Indiach Północnych — 10.

Analfabetyzm nie jest jednak u nas synonimem braku oświaty czy kultury. Oznacza on jedynie fakt, iż zaledwie tak niski procent kobiet umie czytać i pisać w swym ojczystym narzeczu; kobiety te jednak otrzymały w domu staranne wykształcenie, obejmujące historję i literaturę ojczystą, oraz religję. A przedmioty te wystudjowały o wiele gruntowniej, niż naturalzystki na Zachodzie.

Malabarja — to Zachodnia część Gubernatorstwa Madraskiego. Stosunki, tam panujące, różnią się radykalnie od stosunków pozostałych „Prowincyj”.

Dotychczas, bowiem, zachował się tam prawiwozyczny ustrój matryjarchalny. Władza i mienie należą całkowicie do kobiet.

Malabarowie — to rasa zdrowa, silna i dzielna. Wszystkie dziewczynki chodzą do szkół. Procent analfabetek wynosi zaledwie 1,2%.

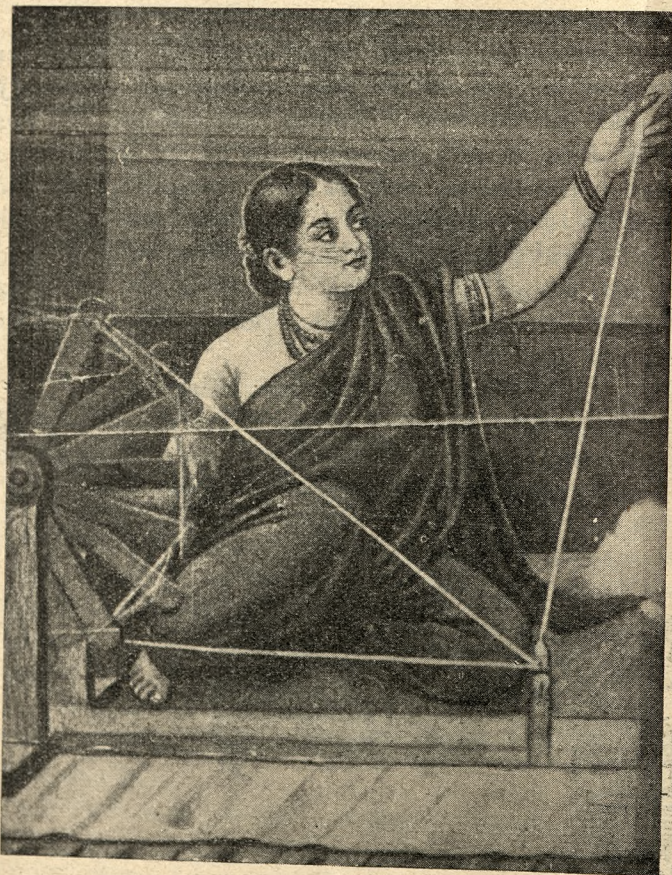
Przejdźmy teraz do Burmy. Śmiało nazwać ją można niewieścim rajem, choć leży o miedzę graniczą z Bengalem, gdzie los kobiet jest najcięższy.

Burmanki, zarówno jak kobiety Południa, korzystają z pełni praw politycznych, wszelkie zawody są im dostępne, wiele posiada wyższe wykształcenie, wiele zajmuje odpowiedzialne stanowiska w instytucjach samorządowych, kilka jest profesorami wyższych uczelni kilka sędziami przysięgłymi; lwia część bogactwa kraju należy do kobiet. W ich rękach bowiem, koncentruje się cały niemal handel Burmy i one również wytwarzają tak modne obecnie tkaniny, hafty i koronki, stanowiące główny eksport Burmy, źródło jej bogactwa.

Burmanki są bardzo inteligentne i zdolne, gania się z zapałem do nauki, ponad inne gałęzie wiedzy ceniąc matematykę i przyrodoznawstwo. Zawołane sportsmenki, z zamiłowaniem uprawiają zwłaszcza konną jazdę i pływanie; tłumnie uczęszczają na wyścigi, roznamiętniają się, czynią wysokie zakłady. Namiętnie również palą długie, wonne cygara...

Czuję, że w tym punkcie przerwie Pani potok mej wymowy i dokończy za mnie — „...noszą krótkie sukienki i obcięte włosy. Jednym słowem, te wychwalane burmanki są ładną podobne do znanych mi dobrze garsonek”.

I jest Pani napewno głęboko rozczarowana. Spotkał Panią, bowiem, dotkliwy zawód. Rozwiązał się



\* Kobieta przy kolowrotku

urok egzotyizmu, prysnął czar, otaczający hinduski w Pani wyobraźni.

Z poza kotary, skrywającej zjawę tajemniczą, wyjrzało ku Pani banalne oblicze „chłopczycy“. Cóż za rozczarowanie!...

Myśli Pani biegają tak szybko, że nie mam nawet możliwości przerwać Pani wywodów i zaprzeczyć im jak najkategoryczniej.

Nic bardziej mylnego niż podobne mniemanie. Protest mój nie dotyczy jedynie zewnętrznych akcesorjów stroju.

Krótką sukienka, obcięte włosy — mój Boże! niema w tem przecież nic tak wielce zdrożnego, byle skracać i obcinać z taktem i umiarem.

Nie o strój więc chodzi mi przedewszystkiem, lecz o psychikę „garsonki“, która różni się krańcowo od psychiki hinduski.

Różniami były w Azji losy „europejskiej mody“. Japonki próbowały nosić obcięte włosy, lecz rychło dały spokój. Próbowały chinki — i zarzuciły; dziś zaś, zgrzytając zębami, wypełniają zarządzenie nowego rządu, nakazującego nosić krótkie włosy.

Burmanka nie próbowała nawet wcale. Intuicyjnie odczuła, że nie będzie jej z tem do twarzy; że ta „moda“ może być co najwyżej maskaradą, nie licuje, bowiem, z jej charakterem, pozbawi ją uroku kobiecości.

A że burmanka jest przedewszystkiem rozkochaną w pięknie artystką, pozostała więc wierną swemu barwnemu, jedwabnemu „sarée“ i podawnemu misternie upina swe długie, krucze sploty.

Mówiłam już o tem, że w Indjach jest mniej kobiet, niż mężczyzn, każda więc może mieć zapewnioną opiekę i niezależny byt w jego domu.

Jeśli więc burmanki z takim zapalem zajmują się handlem, że prawie cały handel Burmy koncentruje się w ich rękach, nie pcha ich do tego konieczność zarobkowania na życie, lecz przedsiębiorczość i energia.

Burmanka nie zna ograniczeń, które na kobiety innych krain Indyj nakłada purdha, kastowość i wczesne małżeństwo. Są silne i zdrowe, harmonijnie rozwinięte, w postawie ich i ruchach przebija się poczucie własnej godności i pewność siebie, które im daje niezależny byt materialny. Są przytem tak urocze i kobiece!

Uprzejmość, prostota, szczerłość i radość życia — są podstawowymi cechami psychiki burmanki. Są tak bezpośrednio w swych uczuciach, wesołego usposobienia, skore do śmiechu i zabawy, że nawet stare kobiety umieją się bawić i swawolić, jak dzieciaki. Nieraz widywałam staruszki, wdrapujące się na drzewo, aby zerwać kwiat, który im się podobał.

Burmanka, zmuszona do spędzania większości dnia poza domem, nie ma czasu zajmować się gospodarstwem. Społeczeństwo burmańskie nie gorszy się bynajmniej tym stanem rzeczy, a życie dostosowało

się do niego, stwarzając nowe, odpowiednie formy. Powstała nowa gałąź przemysłu, umożliwiająca burmankom pogodzenie tych dwu sprzecznych, zda się obowiązków: wzorowej matki i żony, czuwającej nad swą rodziną, oraz skrzętnej, zabiegliwej kupcowej; rozwinął się mianowicie, — domokrażny handel gotowanymi potrawami. Od przekupki ulicznej kupuje burmanka gotowy posiłek, a cała rodzina spożywa go wspólnie na przewiewnej werandzie przed sklepem. Na tak zorganizowany posiłek przybywa mąż ze swego biura i dzieci ze szkoły. Sklep matki staje się na chwilę parą domem rodzinnym. Tam bowiem, gdzie przebywa matka, głowa rodu, znajduje się również ognisko domowe.

## Z ŻYCIA EKRANU

(„PRZEDWIOŚNIE“ — zdradliwy ekran)

W poprzednim artykule starałam się dowieść, że sfilmowanie „Pana Tadeusza“ było pod względem propagandy literackiej dosyć problematyczne i nie dało nic kinematografji, ale przynajmniej nie ucziło nic Mickiewiczowi. Inaczej rzecz się ma z Żeromskim, na którego filmiarze rzucili się z jakąś chorobliwą pasją (widzieliśmy już „Przedwiośnie“, wkrótce mamy zobaczyć „Ponad śnieg“ oraz filmuje się już drugą wersję „Dziejów grzechu“). Słusznie wyraził się J. N. Miller, że „filmowanie arcydzieł jest nietylko ich popularyzacją, ale — wulgaryzacją“. Jest tak istotnie. Dzieje się to z dwóch powodów: po pierwsze — należy dzieło przystosować do poziomu najszerszych mas, bo kino — to właściwie — ulica; po drugie — to, co w dziele literackim ma największą wartość, w kinie musi odpaść. W danym wypadku z Żeromskiego odpada to, co jest istotą jego twórczości: ideologja i niezwykle bogactwo i piękno języka. Zostaje więc tylko fałafa, wprawdzie zawsze niezmiernie interesująca, bogata, urozmaicona, „kinowa“, ale — czy to jest Żeromski? Czy jeżeli to „Przedwiośnie“ zobaczy cudzoziemiec, da mu ono, choć w przybliżeniu, pojęcie o tem, jaką rolę odegrał Żeromski w naszej literaturze i w naszym życiu? Zobaczy tylko autora „romansu“ (życie miłosne Baryki zostało w filmie potraktowane najszerzej), w którym są wprawdzie pewne przesłanki ideowe, ale dość mętne, a nawet naiwne. Gdyby to nie był Żeromski, taki pomniejszony, taki odarty ze swego największego bogactwa, ze słów, z których każde jest żywym, bijącym sercem — film ten, z punktu widzenia kinematografji, sprawiłby nam rzetelną przyjemność. Zwłaszcza pierwsza połowa stoi na poziomie dotychczas u nas niewidzianym. Największy postęp widać w reżyserskim opracowaniu epizodów i doborze statystów. Poraz pierwszy bodaj widzimy w polskim filmie epizod, potraktowany, jako ozdoba, jako in-

krustacja filmu. Dotychczas była to pustka, raczej zapchana, niż wypełniona przygodnym materiałem wizualnym. Statyści też nie są tu dowolną zbieraniną ludzką — każdy ma swój wyraz, każdy stanowi jakiś typ (ciotki, pasażerowie „ciepłuszki“, uczestnicy komunistycznego zebrania i t. d.). Sceny zbiorowe mają dużo życia i swobody (np. przyjazd młodzieńców na wieś), montaż i techniczna strona (prócz samej wizji szklanych domów) — rozwiązane są bardzo szczęśliwie, słowem — postęp na całej linii. Gdyby te wszystkie zdobycze były zastosowane do filmu, nad którym nie ciążyłoby tak wielkie i drogie nam nazwisko. „Przedwiośnie“ pod względem kinowym uważalibyśmy za najlepszy obraz z dotychczas u nas wyprodukowanych.

O ile strona reżyserska filmu polskiego, nie wnosząc jeszcze, niestety, niczego nowego, zaczyna jednak zbliżać się powoli do poziomu, o którym już można dyskutować — strona aktorska ciągle jeszcze pełna jest niespodzianek, zarówno w sensie ujemnym, jak dodatnim. Każdy nowy film, choćby obsadzony aktorami, dobrze nam znanymi, jest zagadką nie tylko dla publiczności, ale często dla reżysera i samych wykonawców. Może innym razem wrócę do gry uiszczących gwiazd, dziś pragnę zwrócić uwagę na pewne paradoksalne zjawisko, dotyczące ich ekranowej aparacji. Czytałam przed kilku miesiącami korespondencję z Polski pewnej dziennikarki francuskiej. Wiele wierszy swego artykułu poświęca pani ta urodzie polek, ich niezwykłemu szykowi, który według niej nie ustępuje paryskiemu, oraz ich... cudownym nogom. Wszystko to zdążyła zaobserwować nie wśród „wyszczonych 10.000“, w prywatnych salonach, lub na deskach scenicznych: takim wydał jej się uliczny tłum, w dodatku w miesiącach letnich, kiedy „elegancka Warszawa“ jest poza miastem — co dla nas jest tem pochlebniejsze. A teraz zobaczymy, jak te ładne, zgrabne i szykowne nasze rodaczki wyglądają na ekranie. Albo są ładne i... „niefotogeniczne“, albo są „fotogeniczne“ — to znów operator nie umie ich odpowiednio zdjąć, dość, że w rezultacie — z małymi wyjątkami — wychodzą na ekranie nieładnie. Tyle — twarze. A jak wygląda szyk, zgrabność, piękne nogi i t. d.? Prócz nielicznych wyjątków, które wnoszą na ekran trochę wdzięku, powiewności i lekkości w ruchach (Zajączkowska, Modzelewska) — widzimy tam najczęściej osoby, które, choćby zdradzały największy talent, nie zostałyby zaangażowane w Ameryce nawet do najmniejszych ról. Gdyż właśnie Ameryka pierwsza zrozumiała, wiele fotogeniczności, wiele piękna i wyrazu tkwi w kształcie ludzkiego ciała. Ekran wymaga, poza grą twarzy, jaknajwiększej swobody, harmonji i niezależności ruchów, które zdobywa się tylko przy pomocy sportów i gimnastyki, uprawianych systematycznie. Jak tu mówić wogóle o grze artystki, skoro zamiast żywego organizmu, którego każda cząstka powinna harmonijnie współdziałać w reagowaniu na

wzruszenia, widzimy tylko „grę“ twarzy?! Reszta ciała jest martwym kłosem, nierzadko, z powodu zbyt obfitych kształtów, unieruchomionym do reszty przez długi, obcisły pas-gorset. Pod suknią artystek amerykańskich (dziś nawet i — niemieckich) czujemy doskonałość kształtu, piękno każdego ruchu, tak, jak widzimy grę mięśni pod lśniącą skórą rasowego konia. O ile w teatrze można łatwo zamaskować pewne braki „linji“, na ekranie jest to niemożliwe. Darząc nas tyloma złudami, w tym jednym wypadku kino jest nieubłagane: odbija prawdę i tylko prawdę. Dlatego może odegrało tak wielką rolę w propagandzie kultury ciała. Że na tej drodze zaszedliśmy jeszcze niedaleko, widzimy to w polskim filmie. Ekran nas zdradza.

Stef. H.



TEATR LETNI:

„Panienka z dancingu“ komedia w 3-ach aktach Stefana Krzywoszewskiego. Reżyserował dyr. Emil Chaberski. Dekoracje A. Aleksandrowicza.

Wiadomo ogólnie, jak trudno jest zrobić dobry film ze sztuki, napisanej dla teatru. Myślę jednak, że dużo trudniej jest stworzyć dobrą sztukę teatralną z treścią, któraby była jedynie dobrą dla drugorzędnego sentymentalnego filmu i to bez Liliany Gish nawet. Od farsy nie wymagamy ani głębi, psychologicznej, ani wstrząsającej point'y — to prawda, ale koniecznie chcemy odpowiedniej dozy dowcipu i tempa, zawrotnego tempa. Tego wszystkiego sztuka Krzywoszewskiego nam nie dała. Wszelkie usiłowania zbyt rychłych zresztą pogłębień wypadły, jak dysonanse; postacie poruszały się na scenie sztywno, jak marjonetki, tembardziej podobne do marjonetek, że wyskoczyły z próżni — poprostu bez początku. Gdyby tło było trochę podmalowane, to z postaci Sołowiejczyka, możnaby było zrobić kapitalny typ, a tak nawet świetna gra Kurnakowicza nie zdołała uratować sytuacji. Sama „panienka“ — była ładna i milutka, tylko, że przez cały czas nie mogła utrzymać równowagi między rzetelną enotą, a... impetem do grzechu. W końcu nie wiemy, jaką naprawdę była. Z tego też powodu jej świetna „karjera“ nie przemawia nam do przekonania.

Jedyny poważny plus tej sztuki, to doskonała gra artystów, szczególnie Fertnera, i ładne, choć banalne, dekoracje.

Z. M.

## Z KSIĄŻEK

Halina Dąbrowska „Zielony parawan”. Warszawa 1929.  
Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Z za tego „zielonego parawanu” szczerzy zęby śmierć, kalectwo, choroba, nędza, krzywda ludzka, złość i opuszczenie. Wyobraźnia młodej, a już trzykrotnie wieńczonej nagrodami konkursowymi autorki chętnie lgnie do ciemnych stron życia, malując je z pasją, kontrastowymi barwami, uwypuklającymi przepaść, dzielącą marzenie od rzeczywistości. Trzy-padek, czy pokrewieństwo z wyboru? Prawdopodobniej — to drugie, bo autorka zdradza całkowitą świadomość wobec obranego tematu, a nawet pewną uporczywą zaciekłość w przeprowadzaniu swej „czarnej” ideologii. Ale jeżeli to jest wolny wybór, to przecież i w wyborze zachodzą pomyłki. Jednostronność może zrodzić manierę, zawsze niebezpieczną, a czasem zgubną dla młodych talentów. A przecież w tym „ogrodzie udręczeń”, do jakiego wprowadziła nas autorka, obok kwiatów zła rosną zioła, rozkwitające w pełnym świetle dnia pogodnego. Jej styl, giętki, plastyczny, nabrzmiały krwią, gorący od południowego słońca, buchający wulkaniczną namiętnością — mięknie, jak wosk, nasiąka gamą tonów pastelowych, staje się pieśczętliwym, uległym, niemal kornym, w chwili, kiedy się zetknie z naturą, wiekuistą pocieszycielką dusz samotnych.

Bo zresztą miłość jest u niej okrutnym tyranem, któremu na pięty następuje śmierć; bohaterstwo ma posmak brzydoty, kłamstwa lub nieszczęścia, a nędza wykrzywia usta chytrym uśmiechem podstępny.

Szczęściem, natura, zsyłając choroby, stwarza i leki. Czy takim bohaterstwem na weltszmerę, na wiekuisty ból istnienia ma być romantyzm i techna-filozofja życiowa, zawarta w tych słowach: „Małoduszni tylko łakną cudu wcielenia złudy w przedmiot. Mędrsi wiedzą, że *cudem* jest sama łaska wiary”.

Chcemy wierzyć, że obiecujący talent młodej autorki wyjdzie zwycięsko z zakłętego koła tematów szpitalnych i otrząśnie się z makabrystycznej sugestji.

Cud wyzwolenia napewno nie pójdzie w parze z małodusznością.

S. P. O.

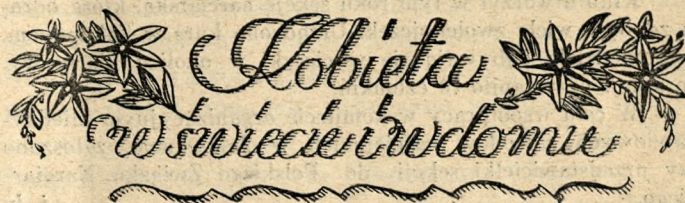
Halina Konopacka: „Któregoś dnia”, Warszawa 1929.  
Nakładem księgarni Hoesicka.

Dłoń, którą przywykliśmy widzieć miotającą dysk, dzierży pióro! Halina Konopacka, polska „olimpijka”, pisze poezje! Fakt bardziej prosty i naturalny, niżby się napozór zdawało. Jeszcze jeden dowód, że kobieta nie może w sporcie wypowiedzieć się bez reszty. Szczególniej, gdy całą jej istotą rządzi rytm, prąciec piękna twórczego.

W tych kilkunastu utworach, jakie nam dała, odnajdujemy tę samą Konopacką, którą znamy z boiska: prostą, szczerą, nieskomplikowaną, podchoiżącą

do życia bez pretensji, ale z nadzieją zwycięstwa. Inna sprawa, że w poezji, jak niegdyś w krosienkach, zwykły kobiety tulić swe smutki i sączyć łzy. Ale łzy Konopackiej osychają prędko, jak łzy dziecka, tonąc w futrze wiernego psa (Pies). Jej poezja dobrze oddaje nastrój młodej dziewczyny, trochę bezradnej, a zarazem rozkosznie zdziwionej wobec oplatających ją ramion życia („Kobieta”, „Któregoś dnia”). Tomik, jak to zwykle bywa z pierwszym, dosyć nierówny. Obok banalnych wierszyków — rzeczy mocne o pogłębionej treści i formie opanowanej. Obok przeciętnych opadków poezji — owoce jędrne i dojrzałe.

S. P. O.



#### APEL KOMITETU WYSTAWY PRACY KOBIEC NA P. W. K. W POZNANIU.

Będziemy miały własny pawilon Pracy Kobiet na P. W. K. Wszystkie związki, stowarzyszenia i organizacje społeczne kobiece muszą współdziałać z Komitetem, by umożliwić jak najdokładniejsze zobrazowanie udziału kobiet w ogólnej pracy twórczej narodu.

Ze względu na palącą potrzebę zasilenia funduszków dla całkowitego ukończenia budowy rozpoczętego pawilonu, zwracamy się do wszystkich kobiet z gorącym apelem, by zrozumiały obowiązek kupna żetonu i noszenia go stale w celu propagandy wystawy. P. Prezydentowa Mościcka zachęca do tego swym przykładem.

Biuro Komitetu Wystawy Pracy Kobiet mieści się w Zamku.

#### POLSKA SZTUKA DEKORACYJNA NA P. W. K. W POZNANIU.

Tow. Polska Sztuka dekoracyjna urządza pawilon sztuki dekoracyjnej na powszechnej wystawie Polskiej w Poznaniu. Dążeniem Tow. jest przedstawić całokształt wytwórczości polskiej w tej dziedzinie, dlatego zwraca się do wytwórców z prośbą o jaknajliczniejsze przysłanie eksponatów. Specjalnie urządzony będzie dział sztuki kościelnej. Zgłoszenia przyjmuje sekretariat Towarzystwa: Warszawa — Bednarska 25 — telefon 404-05 od 4 do 6-ej.

#### DO AUTOREK POLSKICH!

Oddział Iwowski Polskiego Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem opracowuje i drukiem wydać pragnie Bibliografię Piśmiennictwa kobiecego na Wystawę Pracy Kobiet w Poznaniu. Celem uzyskania jak największej dokładności w rejestracji, zwraca się Redakcja z prośbą do autorek prac naukowych, publicystycznych i popularnych, jak również dzieł z zakresu literatury pięknej, oryginalnej i tłumaczonej, dla dorosłych, młodzieży i dzieci — by ze chciały nadesłać spis swego dorobku piśmienniczego. Obok tytułów należy podać miejsce i rok druku, nakładcę, drukarnię, format, ilość stron druków, oddzielnie wydanych, zaś tytuł pracy, nazwę

czasopisma, jego rok, tom, numer, stronę przy artykułach, zamieszczonych w czasopismach krajowych lub zagranicznych. Ze stawienie należy uzupełnić ujawnieniem pseudo- i kryptonimów. Upraszamy o nadsyłanie dat najdalej do 26.II b. r. na ręce przewodniczącej sekcji bibliograficznej Dr Eugenji Kurkowej — Lwów, Ossolineum.

### ZIMOWE TRENINGI SPORTOWE WIOŚLAREK WARSZAWSKICH.

Dzięki wysiłkom energicznego zarządu, Warszawski Klub Wioślarek zbudował sobie zimowy basen wioślarski na Przystani nad Wisłą.

Treningi zimowe rozpoczęto z końcem stycznia. Z treningów korzysta 10 osad.

Jest to wielki postęp w dziedzinie szkolenia miłośniczek sportu wodnego. Z wiosną nowe zastępy dobrze wyćwiczonych wioślarek będą mogły wypłynąć na Wisłę.

Klub utworzył w tym roku sekcję narciarską, która od razu zdobyła wiele zwolenniczek. Urządzono kurs w Zakopanem, a co niedziela odbywają się wycieczki w okolice Warszawy. Do sekcji przystąpiło 70 członkiń.

W celu współpracy w Komitecie organizacyjnym Międzynarodowych zawodów narciarskich w Zakopanem, zgłoszono trzy przedstawicielki sekcji do Polskiego Związku Narciarskiego.

j. k.

### ZJAZD DELEGATÓW KOMITETU WALKI Z HANDLEM ŻYWYM TOWAREM.

W tygodniu ubiegłym odbył się w Warszawie zjazd delegatów Komitetu walki z handlem kobietami i dziećmi. Zadaniem zjazdu było pobudzenie organizacji społecznych do energiczniejszej akcji, oraz przygotowanie do Międzynarodowego (VII z rzędu) Kongresu, który odbyć się ma w stolicy Polski (ostatni zjazd był w Londynie).

Stawili się bardzo licznie delegaci i delegatki z prowincji, Tow. Ochrony Kobiet i działacze, interesujący się tą kwestią pierwszorzędną społeczną wagi. Punktem ciężkości obrad stała się sprawa policji kobiecej, która w całej Europie wypełnia szpalty pism kobiecych i jest przedmiotem gorącej agitacji i dyskusji. Referat o roli i znaczeniu kobiet w służbie policyjnej wygłosiła p. Holder-Eggerowa. Dyskusja zaś była właściwie szeregiem głosów, domagających się wydatnego zwiększenia policji kobiecej i zaprowadzenia jej wszędzie.

Stwierdzono następnie zbyt małą ilość misyj dworcowych, których jest zaledwie 16 i to głównie w centrum państwa, gdzie rola ich nie tyle jest ważną, co na Kresach, zwłaszcza wschodnich i południowych; tam zaś właśnie brak ich zupełnie.

Stwierdzono również zbyt słaby rozwój instytucji, zajmujących się wyszukiwaniem i dostarczaniem pracy dla pozbawionych jej kobiet i dziewcząt.

Jako główne rezolucje zjazdu, wysunięto: zwiększenie liczby policji kobiecej i rozszerzenie jej działalności na wszystkie miejscowości Rzeczypospolitej, jaknajszybsze załatwienie przez czynniki miarodajne szeregu spraw, związanych ze zwalczaniem nierządu, oraz współpracę społeczeństwa z policją obywatelską i misjami dworcowymi Tow. Ochrony Kobiet.

### „RODZINA POLICYJNA“.

Na wzór stowarzyszenia „Rodzina Wojskowa“ organizuje się obecnie „Rodzina Policyjna“.

Będzie to organizacja kobieca; należeć do niej mogą żony, siostry, matki, córki funkcjonariuszów policji, oraz kobiety, pracujące w biurach policyjnych.

Celem stowarzyszenia jest, podobnie, jak w „Rodzinie Wojskowej“, samopomoc członkiń w jaknajszerszym zakresie.

Chodzi o stworzenie dla rodzin funkcjonariuszów policji lepszych warunków egzystencji materialnej, mieszkaniowych, zdrowotnych; chodzi o umożliwienie zarobku i utrzymania wdowom i sierotom, wychowania dzieci, organizowanie kulturalnego życia rodzin etc.

Wśród rodzin policyjnych jest bardzo wiele biedy, wiele nieszczęść, związanych z narażeniem ojców, synów i braci w ich odpowiedzialnej i ciężkiej służbie bezpieczeństwa publicznego. Roztoczenie planowej akcji społecznej będzie dla nich miało bardzo doniosłe skutki dodatnie.

Centrala „Rodziny Policyjnej“ organizuje się w Warszawie. Na czele komitetu organizacyjnego stanęła p. Jadwiga Małyszewska, małżonka Komendanta głównego policji państwowej. Oddziały stowarzyszenia powstaną w ośrodkach prowincjonalnych, poszczególne koła w mniejszych miasteczkach.

Aby dać podstawy finansowe zakładającemu się stowarzyszeniu, oficerowie policji urządzili w karnawale wielki bal w salach Filharmonji warszawskiej na dochód „Rodziny Policyjnej“. Protektorat nad balem przyjęły Panie Prezydentowa Michalina Mościcka i Marszałkowa Aleksandra Piłsudska.

j. k.

### CZY KOBIETY BĘDĄ ŁAWNICZKAMI SĄDÓW PRACY?

Wywiązało się dość osobliwe nieporozumienie w kwestii pełnienia obywatelskiego obowiązku ławników Sądów Pracy przez kobiety.

Ustawa o tych obecnie powoływanych do życia sądach nie zawiera żadnych specjalnych postanowień, co do udziału kobiet, jako ławników. Ogólne równouprawnienie obywatelskie jest jednak dostateczną w tym względzie wskazówką.

Gdy organizacje pracownice w Warszawie przedstawiły listy kandydatów na ławników Sądów Pracy, ministerstwo sprawiedliwości skreśliło nazwiska wszystkich kobiet.

Wywołało to protesty. Radne miasta Warszawy wystąpiły z odpowiednim oświadczeniem, a Kongres Centralnej Organizacji Pracowników Umysłowych uchwalił rezolucję protestacyjną. Powołano się w niej nie tylko na polskie ustawodawstwo, lecz i na XIII część traktatu Wersalskiego, dotyczącą zagadnień świata pracy. W tej części traktatu pokojowego powiedziano wyraźnie, iż w każdej sprawie co konwencji, obchodzącej pracownice - kobiety, muszą być powoływane rzeczoznawczynie - kobiety.

Z rezolucją tą, odpowiednio umotywowaną, udała się delegacja kongresu do pana ministra sprawiedliwości i otrzymała odpowiedź, iż niema żadnych istotnych ani zasadniczych przeszkód, aby kobietom powierzano także funkcje ławników Sądów Pracy.

Czy w myśl tego oświadczenia nastąpią pożądane mianowania kobiet-ławniczek?

Jest to niewątpliwie konieczne i dla samej sprawności Sądów Pracy pożądane. Wszak przed sądami temi rozegra się niejedna sprawa kobiety-robotnicy, pracownicy, wiele spraw dzieci i nieletnich, dla których lepsze, niż męczyzna, rozeznanie i odczucie, głębszą znajomość warunków i okoliczności będzie miała kobieta.

Nie tylko prawem kobiet, lecz i ich obowiązkiem jest udział w kolegium ławniczym Sądów Pracy. Obowiązek to solidarności kobiecego świata pracy. Obowiązek ofiarności obywatelskiej, gdyż pełniony honorowo.

j. k.

**ZABURZENIA W TRAWIENIU**

PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNA OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOLA“ (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. - GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚCICKIEGO, w WARSZAWIE, UL. FRETA 16.



## POLSKI STYL

Tak, jak bywało zawsze w sztuce i architekturze, istnieje i dziś jedna wielka zasadnicza idea artystyczna, obejmująca cały cywilizowany świat. Idea taka jest niejako wykładnikiem „ducha czasu” — reprezentuje to, co jest najistotniejszym, najwyższym wykwitem danej kultury. Tworzą tę ideę wszystkie cywilizowane narody, często jednak, naród, idący na czele danej kultury, doprowadza ją do doskonałości i tem samem jakiś styl, czy idea w jego formie narzuca się innym siłą rozpędu, przekonania i doskonałości.

Taką ideą przewodnią w architekturze i w urządzeniu wnętrza jest dziś dążenie do prostoty i praktyczności, jak najdalej posuniętej. Dążność ta wytworzyła się pod wpływem technicznych zdobyczy, warunków ekonomicznych i pod wpływem Ameryki, która w tym ruchu wybiła się na czoło. Przyczyną istotną jest konieczność stworzenia form nowych, odpowiednich do nowoczesnego sposobu życia — konieczność, która doprowadziła do zerwania z minionymi — choćby najbardziej wzniosłymi czy uroczymi stylami.

Istnienie wszechświatowej, przewodniej idei w sztuce — zwłaszcza w architekturze i dekoracji wnętrza — nie wyklucza zupełnie samodzielności i indywidualności poszczególnych społeczeństw. Tak dziś, jak i dawniej, narody mogą być bądź samodzielnymi twórcami, bądź naśladowcami i odbiorcami gotowych form. Idea ogólna może być zawsze punktem wyjścia dla innych, nowych, a niemniej interesujących i niemniej głębokich, czy też pożytecznych pomysłów.

Każde społeczeństwo, rozwijające się i żyjące, powinno mieć swój styl, tak jak go ma każdy człowiek, posiadający wyrobiony charakter. Warunki geograficzne, klimatyczne, polityczne, usposobienie — wszystko to, wzięte w rachubę, powinno dać całość, zamkniętą w sobie, o wyrazistych cechach, o jasno określonym celu i zadaniu.

Styl narodowy wyrasta tam, gdzie społeczeństwo — mając życie, ułożone podług odpowiadającego mu systemu i porządku — dąży do zamknięcia tego życia w formy, najbliższe uczuciowo, najwygodniejsze i najbardziej celowe w użyciu, podnoszące sprawność umysłową i fizyczną do maksimum. Wszelkie formy, zgodne z wewnętrznym ładem i rytmem życia — przejmują ten rytm, który się staje podstawą stylu.

Przykładów na to może dać historia wiele; nowoczesnym takim przykładem mogą być Anglicy, którzy, nie oglądając się na formy obce, nieodpowiednie dla nich — stworzyli sobie swój dom, taki, jaki wypływa z ich przyzwyczajzeń i wymagań życio-

wych — dom, który im daje odpoczynek taki, jakiego sobie właśnie życzą — dom, w którym nabierają tchu do gorączkowej pracy, jaką jest zajęte ich życie. Anglik odwrócił swój dom podmiejski od drogi i zamknął ogród parkanem — rezygnując z fasady — gdyż jego osobiste życie i wymagania były osią idei twórczej.

Tak samo francuskie style Ludwików XIV, XV i XVI odpowiadały potrzebom i systemowi życia ówczesnych sfer rządzących; miały olśniewać tłum, a bawić i uprzyjemniać życie swym twórcom. Japonja stworzyła jedyne w swym rodzaju budownictwo, związane z klimatem i terenem, który pada ofiarą częstych trzęsień ziemi. Przykłady możnaby mnożyć — każdy może je sam wyszukać. Polska, która posiadała w ciągu swej historii własną „stylowość” życia, nie wytworzyła właściwie własnego stylu architektonicznego i dekoracyjnego; chłonęliśmy zawsze gotowe formy, przynoszone nam przez obcych. Przez Polskę przeszedł styl romański i renesans, stworzony i budowany przez Włochów — gotyk i style Ludwików, będące dziełem i chwałą Francji; mieliśmy piece holenderskie, niemieckie meble, autentyczne wschodnie dywany (których drogocenne strzępy poginęły po lamusach), szkła weneckie, stroje hiszpańskie, szwedzkie, włoskie, francuskie — nie mieliśmy nigdy czegoś, coby było prawdziwie polskim stylem. Bo nawet sławne polskie pasy słuckie miały charakter wschodni, a najpiękniejsze wyrabiał i rysował według wschodnich wzorów francuz Fils-jean, bo nawet t. zw. strój polski jest pochodzenia węgierskiego, i nawet w polskich dworkach, tych najbardziej polskich pamiątkach, pokutuje dużo włoskich pierwowzorów. Europa nie dostała, oprócz polskiej pszenicy, wielkiego dorobku kulturalnego z Polski.

Sztukę wielką — z zakresu „sztuki czystej” — stworzyła Polska dopiero w latach niewoli, jako wyznik wyjątkowo silnego wysiłku zbiorowego, wywołanego silnem napięciem uczuć patryjotycznych<sup>1)</sup>. A przecież społeczeństwo polskie jest pełne sił żywotnych, bogate w zdolności i talenty! Kwestja własnego stylu jest u nas przynajmniej w połowie kwestją ład, organizacji życia i pracy, oszczędności, kwestją pozbycia się lekkomyślnej zasady „jakoś to będzie” i nadmiernej chęci użycia — w drugiej zaś połowie będzie wynikiem intensywnej pracy artystycznej i twórczej — w której nietylko artyści, ale i społeczeństwo ma dużo do zrobienia.

Być może niejedna czytelniczka pomyśli, że kpię: cóż może mieć oszczędność lub organizacja pracy wspólnego ze stylem architektonicznym, lub stylem wnętrza? A jednak, kto nie wierzy, niech sobie przypomni śliczne, do dziś tak lubiane, meble biedermajerowskie, których prostota i świetna konstrukcja

<sup>1)</sup> Styl swój posiadała u nas jedna tylko warstwa t. j. lud i ta część ziemiaństwa, która z powodów ekonomicznych nie ulegała wpływowi obcym.

były podyktowane przez daleko posuniętą oszczędność wiedeńczyków, zniszczonych wojnami napoleońskimi, połączone z dążeniem do wygodnego, miłego zacisza domowego. Naturalnie — dodano do tego dużą dozę dowcipu i intensywnego wysiłku umysłowego. A kto wątpi we wpływ organizacji pracy na styl wnętrza, niech sobie przypomni wszystko, co napisano u nas dotąd o domu amerykańskim.

Dążność od stworzenia polskiego typu mieszkań jest u nas w ostatnim dziesięcioleciu dość silna i jasno skryształizowana; początki usiłowań w tym kierunku mieliśmy jeszcze przed wojną. Impuls wyszedł z grona artystów, zwłaszcza z krakowskiej grupy, związanej przed wojną w Towarzystwo „Sztuka stosowana“, z której wyszły jednostki, idące dziś na czele ruchu artystycznego. Była to epoka, w której próbowano spopularyzować „styl zakopiański“ (okazał się niepraktyczny i mało życiowy), epoka, w której wznowiono tradycję tkactwa kilimowego, zmodernizowanego i chętnie przyjętego przez społeczeństwo — zrobiono wiele wewnątrz i t. d. i t. d.

Obecnie i ze strony społeczeństwa ujawniają się poszukiwania form, któreby zastąpiły obcy sprzęt domowy; wymownym dowodem tego była wrześniowa wystawa w Katowicach pod hasłem „Wnętrze domu“. Wykazała ona brak masowej produkcji mebli i wnętrza, która mogłaby pokryć potrzeby rodzin robotniczych, czy też średnich, niezamożnych warstw inteligencji. Publiczność pragnęła zobaczyć wnętrza jedno i dwupokojowych mieszkań, wzorowych kuchni, pokoi dziecinnych, pracowni i t. p. i była rozczarowana brakami w tym kierunku.

Jest rzeczą dość naturalną, że tego wszystkiego nie było: warunki ekonomiczne naszego życia nie zapewniają żadnej wytwórni masowej sprzedaży „wnętrz“, tembardziej, że gust i zapotrzebowanie kupujących są bardzo niejednolite. Mimo obecnych braków, samo objawienie dążności do własnych form jest faktem radosnym.

Polscy artyści i architekci projektują dziś przede wszystkim budynki i wnętrza reprezentacyjne; budują się i urządzają takie budowle, jak gmach sejmowy w Warszawie czy Katowicach, gmachy rządowe (ministerstwa), banki; odnawia się i urządza Wawel w Krakowie, Zamek w Warszawie — wiele pomniejszych gmachów. Są to budowle, związane z potrzebami państwa.

Pozatem możliwe dziś jest tworzenie dużych, zbiorowych domów mieszkalnych, bądź robotniczych, bądź kooperatyw urzędniczych, profesorskich, oficerskich i t. p. To wszystko jednak jest dalekie od pokrycia prawdziwego zapotrzebowania i może być dopiero początkiem własnego stylu. Nasze mieszkania miejskie i podmiejskie, nasze miasteczka i wsie, zwłaszcza na Kresach wschodnich, są terenem, gdzie prawie wszystko jest jeszcze do zrobienia. Zarówno na

Kresach wschodnich, gdzie trzeba walczyć z niechęcią lub niskim stanem kultury — jak na Kresach zachodnich, gdzie się trzeba przeciwstawiać wrośniętemu w życie duchowi niemieckiemu — otwarta jest droga szeroka do tworzenia własnych form, własnego stylu, własnej filozofji życiowej. Tylko na to trzeba wiele rzetelnej, intensywniej pracy — przerastającej normę zwykłej pracy dla chleba.

Jest dziś gotowy do pracy pokaźny zastęp artystów, architektów, rysowników i przemysłowców; wszyscy jednak przerzucają się do innych gałęzi sztuki lub pójdą zagranicę, jeśli nie znajdą dość zapotrzebowania na swą pracę — jeśli nie znajdą usprawiedliwienia swej twórczości w dążności do zmian i ulepszeń w życiu społeczeństwa.

Czy współpraca społeczeństwa jest możliwa i potrzebna? Myślę, że bardzo. Nowe formy nie wejdą tak łatwo w życie, jeśli będą przez kogoś podyktowane i narzucone; będą natomiast bardzo życiowe, jeśli inicjatywa wyjdzie od publiczności. W amerykańskiej szkole dawno przed wojną sporządzano na rysunkach szkolnych plany mieszkań, traktując kolorowo oddzielne ściany wnętrza, omawiając praktyczność takiego lub innego kształtu mebla. W Paryżu na międzynarodowej wystawie w r. 1925 były wnętrza szkolne, projektowane przez dzieci. Jest to droga do wyrobienia gustu, do zrozumienia architektury przez ogół, do osobistego wpływu każdej jednostki na kształtowanie się domu i jego wnętrza. Jest to droga do własnego stylu, który u nas może się stać polskim stylem.

Marja Zamadzka.



## MUSIMY ZNAĆ NASZE PRAWA

### II

#### UMOWY PRZEDŚLUBNE

W pogadance poprzedniej zaznaczyłam na wstępie, że Kodeks Cywilny Królestwa Polskiego z 1825 r. zezwala osobom, wstępującym w związek małżeński, urządzić ich wzajemne stosunki majątkowe według ich własnej woli, przez zawarcie umowy przedślubnej, czyli intercyzy.

I jedynie w wypadku nieskorzystania z tego uprawnienia, reguluje te stosunki przepisami, które już poprzednio omówiłam, a w myśl których majątek żony przechodzi pod zarząd i użytkowanie męża. Przepisy zaś, dotyczące umów przedślubnych, są w ogólnych zarysach następujące:

Umowa taka powinna być zawarta przed ślubem, w formie aktu notarialnego; wzmianka o niej, a mianowicie data i miejsce jej zawarcia, musi być



umieszczona w akcie ślubu. Wszystkie te warunki muszą być spełnione, aby intercyza była ważna.

Zawarcia umowy tej przed ślubem Kodeks wymaga dlatego, że powzięcie po ślubie decyzji swobodnej mogłoby być uniemożliwione wskutek wzajemnego wpływania męża i żony na siebie. Żąda formy notarialnej, jest to bowiem akt zbyt ważny, aby mógł się odbyć bez udziału kogoś kompetentnego. Osobistego udziału przyszłych małżonków Kodeks nie nakazuje, z czego wynika, że do aktu tego może stanąć pełnomocnik, lecz specjalnie do tej czynności upoważniony. Dla przyszłego małżonka, jeszcze małoletniego, konieczna jest asystencja osoby, której zezwolenie na małżeństwo jest potrzebne — a więc, przede wszystkim asystencja ojca, a jeśli ojciec nie żyje, jest ubezwłasnowolniony, lub uznany za nieobecnego — matki, jeśli niema matki — opiekuna, a w braku jego — rady rodzinnej.

Ujawnienie intercyzy w akcie ślubu wymagane jest ze względu na interesy osób trzecich, które z powodu nieujawniania intercyz mogłyby ponieść szkodę.

Stawianie intercyzie powyższych wymagań usprawiedliwione jest i tem jeszcze, że jest to umowa, której po ślubie ani zmienić, ani odwołać nie można. Wyraźnie stwierdza to jeden z artykułów Kodeksu, który tak brzmi. „Po nastąpieniu obchodzie małżeństwa umowy przedślubne zmieniane być nie mogą”.

Pewnym odstępstwem od tej zasady, podyktowanym zresztą względami słuszności, jest, zawarte w Kodeksie, zezwolenie dla osób, będących w sepa-

racji na czas nieograniczony, a z powrotem łączących się, na urządzenie w drodze umowy ich stosunków majątkowych, na czas trwania małżeństwa, po połączeniu się ich, co jest traktowane jako zawarcie małżeństwa na nowo.

Zabronienie przez Kodeks zmieniania intercyzy powinno skłonić osoby, zawierające tę umowę przedślubną, do głębszego zastanowienia się nad jej treścią, tembardziej, że Kodeks daje pod tym względem całkowitą wolność.

Zabrania on jedynie, tak jak i we wszystkich innego rodzaju umowach, umieszczania postanowień, niezgodnych z przepisami prawa, mającymi na celu dobro i porządek publiczny, zmieniania przepisów, ustalających zdolność cywilną mężatki. Nieważnym więc np. byłby punkt umowy, opiewający, że żona musi mieć upoważnienie męża na zrobienie testamentu — jest bowiem wyraźny przepis Kodeksu, że upoważnienia żona do tego nie potrzebuje. Korzystając z pozostawionej im swobody, przyszli małżonkowie mają możność urządzić swe stosunki majątkowe w sposób dla nich najodpowiedniejszy i najdogodniejszy, wybierając któryś z systemów majątkowych małżeńskich, które Kodeks w liczbie trzech podaje, lub stwarzając nowy system.

Podaję, iż Kodeks nasz omawia jedynie systemy najczęściej używane, jak to: rozdzielności, posagowy i wspólności, i to w zarysach ogólnych, dając przede wszystkim przepisy, które okazać się mogą potrzebne dla uzupełnienia ewentualnych luk w intercyzach.

M. B.

## DO RODZICÓW I NAUCZYCIELI!

*Poważną luką w piśmiennictwie naszym był brak organu, któryby był stałym doradcą w kwestii moralnego i fizycznego wychowania młodzieży w wieku szkolnym, i którego łamy służyłyby zarówno rodzicom, jak i nauczycielom do omawiania i wiązania ich poczynań wychowawczych w jednolitą całość.*

*Temu brakowi chcemy zaradzić przez wydawanie dwutygodnika dla rodziców i wychowawców p. t.*

# „WIEK SZKOLNY”

*którego trzeci numer wyszedł już z druku i zawiera nast. treść:*

O zainteresowaniach dzieci i młodzieży — *M. Ukłejska*. Paweł i Gawel (nowela) — *E. Masiejewska*.  
Winowajcy przepracowania młodzieży — *Wł. Koczewski*. Łwizy i ślizgawka — *H. Jabczyńska*. Piszą do nas. Z biblioteki wychowawczej. Jak urządzić biblioteczkę. Zbliża i zdaleka.

*Redakcja i Administracja „WIEKU SZKOLNEGO” mieści się w Warszawie przy Pl. Zamkowym 99, dokąd należy przysyłać prenumeratę, wynoszącą: rocznie 20 zł., kwartalnie 5 zł., miesięcznie 1 zł. 80 gr. Cena pojedynczego numeru 1 zł. (konto P. K. O. Nr 18.800).*

*Dla rodzin pp. wojskowych, nauczycieli i urzędników państwowych i komunalnych, prenumerata ulgowa: kwartalna 3 zł. 75 gr., miesięczna 1 zł. 35 gr.*

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

## WRAŻENIA KARNAWAŁOWE OSOBY STARSZEJ

Jestem ogromnie towarzyska, lubię widzieć dużo ludzi, rozbawione twarze, tańczącą młodzież. Zawsze rada poświęcam odpoczynek nocny, należący po dniu intensywnej pracy, — dla zabawienia się, zabawą innych, młodszych. I oto co roku oglądane przezemnie zabawy nasuwają coraz poważniejsze refleksje co do tego, czy osiągają cel swój, — czy dają rzeczywistą zabawę biorącym w nich udział, — zabawę, odpowiednią do nakładu kosztów i pracy, włożonych w ich urządzenie — no — i czy dają odpowiedni zysk materialny na cele, na jakie są przeznaczone? Bo mówię tutaj, oczywiście, o zabawach publicznych. W domach prywatnych panuje, dzięki Bogu, dotąd wszechwładna zasada: „Gość w dom — Bóg w dom“, i jeśli ostatnimi czasy zaszły pewne zmiany co do form, towarzyszących przyjęciu, to treść jednak pozostała ta sama. Gość jest traktowany, jak osoba najdroższa, najmilsza, dla której się poświęca wszystko i której się wszystko czem rozporządzamy, oddaje. Niestety, zabaw prywatnych, a przynajmniej zabaw liczniejszych, łączących wszystkich znajomych gospodarstwa, jest coraz mniej. Ciężkie powojenne warunki materialne, coraz to szuplejsze mieszkania — składają się na to, że tam, gdzie bywało parę dużych bali w karnawale tylko, urządza się w ciągu zimy jeden dancing dla koleżanek córki i jednego bridge'a dla stałych partnerów z klubu pana czy pani. Tem większą rolę w życiu towarzyskiem odegrać muszą zabawy publiczne. I właśnie te ostatnie wywołują coraz częstsze narzekania i to osób z różnych sfer, z różnych kół, osób przeważnie młodych, ładnych, cieszących się tak zwanym powodzeniem, nieraz takich, których pozycja towarzyska wymaga, aby dużo bywały, gdyż obecność ich daje pewne „cachet“, pewną dobrą firmę zabawie. „Poco mam chodzić na bale mówi jedna z nich, poco mam wydawać tysiące na coraz kosztowniejsze toalety, kiedy będę cały wieczór tańczyła z mężem własnym lub kuzynem Lolem, któremu musimy zafundować — ja bilet na bal, a mąż mój — kolację, bo urzędnicza pensja Lola na tak kosztowne zabawy nie pozwala. Wolę zjeść dobry obiad w domu i przetańczyć te kilka tour'ów z nimi przy dźwiękach gramofonu!“ Są rzeczywiście pewne kategorie wspaniałych zabaw, na które konieczność wymaga, aby goście przyjeżdżali w swoim gronie, ze swoim towarzystwem, gdyż każdy może się na nie dostać, płacąc za bilet. Bilety, noszące nawet czasem, niewiadomo czemu, nazwę zaproszenia, można nabywać w księgarniach, cukierniach. Kontroli kwalifikacji towarzyskiej zebranych niema żadnej. Gospodarzami takiej zabawy są członkowie instytucji dobroczynnej lub społecznej, na której korzystać zabawę się urządza: ich rola ogranicza się do

wynajęcia sali, orkiestry, obmyślenia atrakcyj, poczynienia ogłoszeń, no i pilnowania, aby na sali nie było poważniejszych wykroczeń przeciwko obowiązującym zwyczajom towarzyskim. O gości przygodnych i im samym mało znanych troszczyć się nie potrzebują. Conajwyżej, jeśli bufet jest prowadzony przez panie z towarzystwa, te ostatnie starają się dużą uprzejmością zachęcić gości do spożywania jaknajwiększej ilości darów bożych — bo to na cel dobroczynny“. Inna, bardzo liczna kategoria zabaw publicznych, urządzanych przez różne związki, stowarzyszenia, kluby, korporacje, grupy koleżeńskie i t. p. — nosi charakter nawpół prywatnych zebrań towarzyskich. Jeżeli nie wszyscy się na nich znają, to wszyscy wżajemnie coś wiedzą o sobie. Odbywają się one w gronie osób zaproszonych, lub wprowadzonych przez członków. Uczęszczają na nie młode panienki, nie występujące jeszcze na dużych balach, będących nieraz wystawą tualet i zbytku, a dużo pozostawiających do życzenia, co do doboru towarzystwa. Na takich balach członkowie, lub członkinie związków i stowarzyszeń są gospodarzami i na nich ciąży takie same obowiązki, jak na gospodarzach domu prywatnego. O sobie powinni zapomnieć i myśleć tylko o zabawieniu gości.

Kiedy ubiegłej jesieni liczne panie wróciły z zabaw jubileuszowych prastarej studenckiej korporacji, jednogłośnie zachwyciły się — uprzejmością starych jej filistrów, którzy nie szczędzili starań, aby im pobyt w obcym mieście uprzyjemnić. „No, a młodzi korporanci?“ — „Tych nie widziałyśmy wcale, zdaje się, że sami się doskonale też bawili“.

Tę rozmowę przypominam sobie, ile razy widzę na sali balowej szeregiem siedzące panny, pośrodku kręcące się kilka lub kilkanaście par — zawsze tych samych, i tłok gospodarzy balu przy bufecie z trunkami. Nadaremnie pracują gospodynie na sali: przedstawiony damie kawaler kłania się, uśmiecha i — wieje. Gospodynie od bufetu — mimo chęci uzyskania największego zeń dochodu — uprzejmie przemawiają do otaczającej go młodzieży: „Może panowie pójdą potańczyć, przecież panowie są gospodarzami“. „Panowie“ przenoszą się do stolika i przysyłają kelnera po całe już butelki, — ze zniżką, bo są gospodarzami. Jestem widzem zupełnie bezstronnym, nie mam ani córki, ani siostrzenic do „bawienia“, lecz przyglądając się tego rodzaju zabawom, nieraz stawiam sobie pytanie: czy nie racjonalniejszym sposobem dopomożenia instytucji, lub niezamożnym jej członkom, byłaby składka pomiędzy jej przyjaciółmi i sympatykami? Dałaby, naturalnie, dużo mniej, lecz to „mniej“ całeby poszło na cel wskazany. Odpadłyby wydatki organizacyjne, wynajem sali, orkiestry, rozjazdy gospodarzy, pochłaniające obecnie lwią część dochodu, a nieumiejętni gospodarze mogliby się bawić na innych balach, jako goście, od których nic się specjalnie nie wymaga.

Pani Elżbieta.

## GRZYBOWI SMAKOSZE

Marcus Valerius Martialis, rzymski poeta (40—102 po Chr.), którego sławne po dziś dzień epigramata były ongiś wyrazem życia najwykwintniejszego towarzystwa starego Rzymu, w XIII księdze swych dzieł (ust. 48) mówi:

„argentum atque aurum facile est, lenamque togamque mittere; boletos mittere difficile est!“ — co znaczy: łatwo jeszcze wyrzec się srebra i złota, nawet szczęścia miłości; lecz odsunąć od siebie potrawę z grzybów — niepodobna!

W dwóch tych wierszach powiedziane jest wszystko! Wykwintny rzymianin cenił ponad wszelkie inne radości życia dobry smak i dobrą kuchnię, a w niej na pierwszym miejscu — grzyby. Żartobliwa ironja Martialisa jest dla nas dokumentem łakomstwa starożytnych rzymian, smakujących z lubością w grzybach i stawiających je ponad wszystkie najwyszukańsze przyprawy. My dzisiaj, mniej wykwintni, a może tylko mniej popsuci, przyznając grzybom wyborny smak, uważamy je przeważnie za luksus, bez którego obejść się można. Rzymianin jednak, nie wyobrażający sobie zresztą życia bez grzybów, otaczał je oficjalnie czcią, jako najdoskonalsze dary bogów.

O czci tej mówi Pliniusz \*) (I. c.), że pod karą nieba nie wolno było przyrządzać grzybów innymi łyżkami i t. p. narzędziami, jak tylko ze srebra, lub z „electrum“ (mieszanina złota ze srebrem), albo z bursztynu, w naczyniach, specjalnie tylko do potraw grzybowych przeznaczonych (boletaria). Echo tych zwyczajów rzymskich dotrwało do naszych czasów, ale — niestety! — w jak potwornie wykarykaturzonej postaci! Oto i dziś niejedna z naszych gospodyń wkłada srebrną łyżkę do gotujących się grzybów, lecz wcale nie z czci dla nich, ale tylko w *przesądnym mniemaniu*, że *jedyny to sposób na wypróbowanie, czy grzyby nie są trujące!* Przesąd ten błąka się dziś jeszcze, jak jakiś straszliwy upiór, po gospodarstwach domowych całej niemal Polski (tylko jednej Polski!), ba! zalecają go niemal wszystkie autorki książek kucharskich — ba! podają go, jako niezawodny, nauczyciele i nauczycielki wszystkich naszych szkół, tam wszędzie, gdzie mowa o grzybach! Zwyczaj ten zaś jest zgubnym najczęściej przesądem, bo srebro czernieje tylko od grzybów tak zwanych „siniejących“, z których większość jest jadalna, a które się, oczywiście, po takiej próbie natychmiast bezlitośnie wyrzuca; nie czernieje zaś zupełnie od takiego np. białego muchomora, bezwzględnie a śmiertelnie trującego, a tak bardzo podobnego do białej pieczarki.

\* \* \*

\*) Gaius Plinius Secundus Maior, 23—79 po Chr., autor dzieła „Historia naturalis“ w przeszło 2000 tomach, z których jednak dochowało się tylko 37.

Za czasów rzymskiego cesarza Tyberjusza Klaujdjusza Nerona (14—37 po Chr.) żył i pracował w Rzymie mąż, imieniem Marcus Gavius Opicius, którego jedynym celem życia było jak najsmaczniej zjeść i spostrzeżenia swe o smaku i sporządzaniu różnych potraw w księgach zapisać. Dziś nazwalibyśmy takiego człowieka — „kronikarz-pieczeniarz“. O jego życiu mówi jego samobójstwo, którego dokonał z obawy przed „nędzą“, widząc, że majątek jego wynosi już tylko około 2-ch milionów dzisiejszych złotych polskich!...

Dzieła jego zebrano później i wydano pod tytułem: „Caelius Apicius de re coquinaria“ w 10-ciu tomach (Heidelberg 1874). Z innego wydania wcześniejszego (Coelii Apicii de opsoniis et condimentis, cum notis Listeri. Amstelod. 1709) dowiadujemy się o zwyczajnym u starożytnych rzymian sposobie przyrządzania grzybów na słodko, a zwłaszcza z praśnym miodem, skąd autor niniejszej notatki zaczerpnął bodźca do pomysłu sporządzania z grzybów: ciast słodkich, konfitur i — cennych pod względem smaku i zdrowotności — likierów i nalewek grzybowych.

\* \* \*

Smakoszów w grzybach poszukać należy i w świecie zwierzęcym. W nim jest ich z pewnością daleko więcej, niż pośród ludzi. Nie mówię już o krowach i wołach, o kozach, owcach, sarnach, jeleniach, zającach itp., od których znanej zachłanności w lubowaniu się grzybami zapożyczyła nauka nazw dla oznaczenia wielu gatunków grzybów (wołak, krowiak podwinięty, krowiak-aksamitka, grzyb krowi, żagiew kozia, żagiew owcza, sarna, jeleniak ziarnisty, zajączek itp. p.); nie mówię o stosowaniu od lat kilku wszędzie na Zachodzie (tylko — broń Boże! — nie u nas!) wykarmianiu bydła rogatego, trzody chlewnej, a nawet koni, ptactwa domowego i ryb pośledniejszymi gatunkami grzybów jadalnych, ale wspomnieć szerzej nieco muszę tu o grzybowych ogrodach, raczej inspektach, jakie z pełnią świadomości, celowo, a z całą techniczną precyzją, prowadzą w gniazdach swoich pewne rodzaje mrówek. tych maleńkich zwierzątek, stawianych zawsze — a najsłuszniej przez nas — za wzór pracowitości, przedsiębiorczości, orientacji społecznej, oszczędności, wreszcie — miłości macierzyńskiej i sztuki życia towarzyskiego.

Oto pewna mrówka, żyjąca w południowej Brazylji i w środkowej Afryce, znana ze zwyczaju doświetlonego ogałacania z liści całych gajów, hoduje na tych liściach, znoszonych do podziemnych gniazd i tam drobniutko siekanych i przerabianych ze swoim kałem na nawóz, pewnego grzyba, dorównującego wielkością naszemu muchomorowi; do tego celu drążą owe mrówki w głębi ziemi obszerne komory, do 4 i 6 metrów długie i do 2 metrów szerokie i wysokie, zapelniając je liściowym nawozem; w nim plantują grzybnię, czyli zarodki grzyba, nie dopuszczając je-

dnak do owocowania przez ustawiczne przycinanie niteczek grzybni, które skutkiem tego grubieją, tworząc tak zwane „kalarepki“, pełne materiałów smacznych i bardzo odżywczych.

Podobnie hoduje grzyby wiele owadów, zwłaszcza znane powszechnie, podobne do mrówek termity. Przynależają one do celów hodowlanych nawóz z trocin drzewnych, które sporządzają same, tnąc ostremi szczękami każde napotkane suche drewno; w poszukiwaniu go podkopują się pod ludzkie domostwa, wycinając doszczętnie wnętrza ścian, podłóg, sufitów i dachów, zostawiając jednak przebiegle wszędzie cieniuchną ściankę zewnętrzną dla zmylenia czujności człowieka. Termity stają się niejednokrotnie przyczyną żywiołowych katastrof, wyzerając wnętrza drewnianych tam rzecznych, mostów i t. p.

A wszystko to jedynie z łakomstwa na grzyby, które dla wielu przedstawicieli świata zwierzęcego są smakołykiem poszukiwanym ponad wszystko.

*Feliks Teodorowicz.*



## ORZECHY

Tegoroczny urodzaj orzechów włoskich nie idzie w parze z wysoką ich ceną; ilości, w jakich zbierano te owoce w ogrodach, gdzie się jeszcze drzewa orzechowe znajdują, pozwalały przypuszczać, że wszyscy będziemy mogli z nich korzystać. Tymczasem jest inaczej, bo cena pozostała, jaką była, bynajmniej nie okazując tendencji niżkowej. Przyczyna leży w coraz większym zaniku orzecha, tego króla drzew owocowych. Sprowadzony do Polski już w 1219 r., chociaż z trudnością przyswoił się i przystosował do ostrych warunków klimatycznych, przez długi szereg lat stanowił chlubę i ozdobę ogrodów naszych pradziadów. Z żalem stwierdzić musimy, że dziś spotykamy go coraz rzadziej i że to wspaniałe południowe drzewo, o 25 metrowej co najmniej koronie, skazuje na zagładę — duch czasu. W nim trzeba szukać przyczyny niechęci do sadzenia drzew, które rodzić zaczynają za ledwie w dwudziestym roku istnienia, a do pełnego rozwoju dochodzą między 40-ym a 60-ym rokiem życia.

Pośpiech, z jakim żyjemy, upadek życia rodzinnego i szybkość, z jaką ziemia przechodzi z rąk do rąk, czynią bezcelowymi dla ogółu wszelkie starania o jej kulturę na dalszą metę — zadowalniając się dożywnymi zabiegami. To, co dawniej robiono dla szeregu pokoleń — dziś ujmuje się w ramy jednego życia wskutek niestałości warunków bytu, które każą

ojcom przewidywać dla synów inną, niż ich własną, egzystencję. Pragnienie jak najszybszego użycia owoców swojej pracy, egoizm, wynikający z potrzeby, wywołujący niechęć do budowania dla drugich, są charakterystyczną cechą czasów obecnych — cechą, kopiającą przepaść między nowymi pokoleniami, a temi, po których nie dano im dziedziczyć. Jakże sadyści mają drzewa tak odległej przyszłości — ludzie, których los uczynił jedynie przechodniami na ziemi, w którą przodkowie ich, zdawało się, że wrosł tak mocno, jak pielęgnowane przez nich drzewa?! Ze względu na piękność i korzyści, jakie przynoszą drzewa orzechowe, nie powinniśmy poddawać się zniechęceniu i, mimo wszystko, sadzić je; wszak rosną tak wolno! może doczekają się czasów, kiedy poszanowanie cudzej własności nie będzie już tylko czczym frazesem, dadzą komuś tyle radości i zysku, wiele pragnęlibyśmy ich dla siebie, a nam — wdzięczne wspomnienie tych, co po nas przyjdą.

Wartość posiada nie tylko pożywny i smaczny owoc orzecha włoskiego: drzewo jego bardzo jest cennie i służy do wyrabiania ozdobnych mebli. Z tego nad wszelki wyraz pożytecznego drzewa nawet liście służą za barwnik w farbiarstwie, a w codziennym życiu używany jest ich odwar, jako domowy środek do przyciemniania siwiejących włosów. Dzięki swojemu ostremu zapachowi, liście orzechowe mają własność odstraszenia much; to też w okolicach, gdzie drzewa te jeszcze rosną obficie, wieśniacy wycierają zgniecionymi liśćmi orzecha włoskiego skórę koni, dla zabezpieczenia ich od natrętnych owadów. Myszy również nie lubią woni liści orzechowych i uciekają od miejsc, gdzie są rozłożone.

Orzechy najlepsze są do jedzenia świeże, dopóki skórka z nich schodzi; skoro przyschną, nabierają cierpkości i goryczy. Można przywrócić im świeżość, używszy jednego ze wskazanych poniżej sposobów: zasuszone orzechy włożyć w rzadki, płócienny woreczek i zakopać w dołek na 50 cm. głęboki. Niech w nim poleżą 24 godziny. Użyć tylko tyle owocu, wiele na raz nam potrzeba i uważać, aby ziemia, w którą będą zakopane, była wilgotna, ale nie stęchła. Po upływie doby wyjąć je — powinny obierać się i nabierać jędrności i smaku, jak świeże. Drugi sposób polega na sparzeniu orzechów w twardych skorupkach ukropem, do którego, stosownie do ich ilości, wsypujemy jedną lub kilka garści soli kuchennej — zostawiamy je w tej kąpieli pod przykryciem na pół dnia, poczem płócemy z soli w miękkiej, cieplej wodzie, wyjmujemy, obcieramy z wilgoci i zaraz podajemy. Do kuchennego użytku można parzyć ukropem potłuczone i obrane z twardej łupiny orzechy, co jednakże odbiera im kolor i słodycz, to też przeważnie używane są na masę i do ciasta w cienkich skorupkach.

Mało znany, a doskonały przysmak — to pączki z orzechami włoskimi — podaję tu ich przepis: zro-

bić dobre ciasto drożdżowe, nie załując wanilji; gdy podrośnie, robić zwyczajne pączki i kłaść w nie zamiast konfitur całe jądra orzechów, zgrabnie obrane — poukładać na sicie, niech podrosną — następnie smażyć na gorącym szmalcu wieprzowym do rumianego koloru — obsaczyć na bibule, obsypać grubo cukrem z wanilją i podać, póki gorące.

Zabawną jest rola, jaką odgrywa w południowej Francji orzech w kwestji małżeńskiej. Jeżeli starający się młodzieniec poczęstowany jest przez pannę orzechem lub potrawą z orzecha, znaczy to, że nie ma po co trudzić się dalszemi konkurami. Zupełnie, jak u nas, gdy kawalera poczęstują „harbuzem“, tylko, że co kraj, to obyczaj.

J. S.

## Przepisy Gospodarskie



### SUM PIECZONY Z MUSZTARDOWYM SOSEM

Piękny, dwukilowy kawałek suma osolić i potrzymać tak przez godzin parę, aby dobrze cały nasłoniał. Brytfannę wysmarować grubo masłem, ułożyć na nią posmarowaną też masłem rybę, obsypać obficie cieniuchno uszatkowaną marchwią, cebulą i pietruszką, posypać tartym, czarnym chlebem, rozłożyć po wierzchu jeszcze kawałeczki masła, wrzucić na brytfannę kilka ziarn pieprzu i ziela, dwa goździki i listek, drobno pokruszony, wstawić do gorącego pieca. Polewać często masłem z brytfanny, a gdy się ładnie zarumieni — szklanką rosółu z ryby lub rozpuszczoną kostką buljonową. Gdy się dopiecze, co można sprawdzić widelcem, rybę wyjąć, pokrajać w plastry, ułożyć na półmisku, obkładając wkoło kartoflami z wody. Tymczasem do sosu włożyć dobrą łyżkę domowej, gotowej musztardy, pół szklanki octu, pół szklanki śmietany, zagotować i nie fasując go przez sito, zalać wraz z jarzynkami rybę na półmisku.

### PASZTET Z FLĄDER

Ugotować szklankę ( $\frac{1}{4}$  kilo) ryżu na sypko, cztery jaja na twardo i usmażyć dwie spore cebule (20 deka) w łyżce masła, nie rumieniąc ich zanadto. Oczyścić kilo fląder, odrzucić głowy, ugotować w nie-dużej ilości wody, z cebulą pieprzem i listkiem. Wody powinno być tylko tyle, aby ryby objęło. Zagnieść krusze ciasto z czterdziestu deka mąki, dwudziestu deka tłustego masła lub szmalcu, odrobiny soli i paru łyżek wody. Rozwałkować to ciasto cienko, wyłożyć niem wysmarowaną masłem i wysypaną bułeczką tortownicę, pozostawiając trzecią część ciasta na pokrycie pasztetu. Z fląder gorących jeszcze zdjąć skórę i wyjąć wszystko mięso, starając się nie pokruszyć filetów. Rzędami układać w formie ryż, rybę, cebulę i jaja, aż wszystko wyjdzie. Zasklepić formę ciastem, posmarować żółtkiem i wstawić w dobrze gorący piec na trzy kwadransy. Gdyby się pasztet po wierzchu zanadto rumienił, przykryć zmoczoną wodą bibulą. Na smaku w którym się gotowały flądry, zrobić sos, zaprawiając go masłem z mąką i półkwarterkiem śmietany. Do gotowego włożyć łyżkę kaparów lub drobno pokrajanych korniszonów, zagotować raz jeszcze i podać w sosjerce do pasztetu.

### KOTLETY JARSKIE

Trzy duże marchwie, dwie pietruszki, cały por, pół selera, pół główki włoskiej kapusty i dwie cebule, (razem około kilo włoszczyzny), ugotować, jak na rosół, przyczem smak ten może być użyty na wyborną zupę. Wszystkie jarzyny odcedzić na durszlak, ostudzić zupełnie, przepuścić przez maszynkę, wbić do nich dwa jaja całe i tyle bułeczki tartej, aby się dały formować kotlety. Kotlety te jeszcze utarzać w mące z bułeczką i smażyć na rumiano na obficie roztopionem maśle lub fryturze wołowej. Podać z sosem śmietanowym lub rumianym cytrynowym, zrobionym na smaku z jarzyn.

### WINEGRET JARSKI NA GORĄCO

Formę budyniową wysmarować grubo masłem i układać w niej warstwami wszelkie jarzyny sezo-

### W odpowiedzi na liczne zapytania naszych Czytelniczek, zawiadamiamy, że nabyć serwetki, dawane na premje, można po cenach następujących:

- 6 jednakowych serwetek-kwiatów z potrzebnymi dodatkami (jedna z nich zaczęta) — 7 zł.
- 6 serwetek-kwiatów, każda inna, z potrzebnymi dodatkami (każda zaczęta) — 8 zł. 50 gr.
- 6 serwetek-kwiatów, zupełnie wykończonych — 20 zł.
- 3 jednakowe serwetki deserowe z dodatkami (jedna zaczęta) — 5 zł.
- 3 serwetki deserowe z dodatkami, każda inna (każda zaczęta) — 6 zł.
- 3 serwetki deserowe zupełnie wykończone — 14 zł.

Jeśli która z Czytelniczek chce zamówić serwetki, prosimy o przesłanie należności przekazem lub znaczkami pocztowymi. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

nowe, za wyjątkiem kartofli i buraków. Zatem mogą to być kalafjory, szparagi, fasolka zielona i szparagowa, groszek w ziarnkach i strączkach, młode kartofelki, dopóki się nie staną mączyste, karotki, rzepki majowe i t. p. Zimą — kapusta biała i włoska, marchew, pietruszka, pory, selery, cebula cukrowa, brukiew, brukselka, bulwy i t. p. Jarzyny powinny być pokrajane w grubą kostkę i oplókanie przed użyciem, moczyć ich nie należy, gdyż tracą smak i aromat. Każdy rząd jarzyn przekładać kawałeczkami najlepszego masła i lekko solić. Gdy forma pełna, należy utrząść ją mocno i jeszcze dołożyć tyle jarzyn, aby się tylko dała domknąć, ponieważ przy duszeniu jarzyny bardzo opadają. Formę wstawić do rondla z gotującą się wodą i gotować wolno półtorej godziny od chwili zagotowania. Przed samem podaniem wyrzucić jarzyny na okrągły półmisek, obłożyć wkoło grzankami z bułki, zarumienionymi na maśle, i gorące podawać. Tak przyrządzone jarzyny zachowują cały swój smak i aromat i są wyborne.

Pani Elżbieta.

## DOBRE RADY

Grzebień szylkretowy, oczyszczony cienkim sznurkiem w grubszych zębach, a nitką — w cienkich, przetrzeć starannie benzyną. Jeżeli po takim oczyszczeniu grzebień nie odzyska blasku — przetrzeć go delikatnie oliwą, albo terpentyną francuską. W grzebień gęsty przed czesaniem wsunąć cienkie kawałeczki waty lub szarpi, które następnie kawałkiem płótna ściągnąć tak, aby zebrały wszelkie pozostałości włosów i łupieżu z grzebienia. Jest to doskonały sposób, zabezpieczający kompletną czystość grzebienia.

\* \* \*

Kto chce mieć w zimie doskonale kwaśne mleko — niech litr słodkiego rozmięsza dokładnie z trzema łyżkami młodej, ale dobrze kwaśnej śmietany. Postawić w temperaturze pokojowej na 24 godziny, następnie wynieść na chłód. Będzie doskonale, jak w lecie.

## KORESPONDENCJE

Pani S. L. — Maków. Robota klockowa dla osób, które jej zupełnie nie znają, wymaga specjalnej nauki. Zeszyt o robotach klockowych wyjdzie w najbliższej przyszłości.

Pani M. B. — Wólka Kapiłowska. Wzorów na serwetki dać nie możemy. Natomiast po wpłaceniu półrocznej prenumeraty może Sz. Pani otrzymać żądane serwetki.

Pani K. Z. — Mikulińce. Żądane przez Sz. Panią wzory podane były w N-rze 21 „Kobiety w Świecie i w Domu”. Po nadesłaniu 1 zł. 40 gr. plus kosztu przesyłki w znaczkach pocztowych — numer powyższy wysłamy. Haft krzyżykowy na bieliźnie robi się na bardzo cienkiej kanwie, pojedynczą nitką bawełny Mouliné.

Pani I. N. — Samsieczna. Wskazówek o pasach dzianych udzieli Sz. Pani firma „Szober i Szymczyk” Warszawa, Marszałkowska 72. Proszę powołać się na naszą Redakcję.

Pani E. S. — Narbutowski. W kwestji wycieczek niech Sz. Pani skieruje się do Tow. „Orbis”, które ma przedstawicielstwa w każdym większym mieście. W Warszawie listownie można skierować się: Marszałkowska 98, adresując: „Biuro podróży Orbis” — Dział informacyjny.

Nowa Reklama — Lwów. Podręcznik do roboty sztucznych kwiatów wraz z rysunkami wydamy niebawem.

Pani M. M. — Lisko. Wielką radość sprawi Sz. Pani, przesyłając komplety „Bluszczu” do szpitala „Czerwonego Krzyża”: Warszawa, Smolna Nr. 6, albo do zakładu paralityków pod wezwaniem Ś-go Władysława (ulica Belwederska). Zresztą wszędzie wdzięczni Sz. Pani będą za ten dar. Osobiście prosilibyśmy Sz. Panią o wyszczególnienie lat roczników, które Sz. Pani posiada. Jeżeli znajdą się między nimi te, których nam brakuje do zbioru chętnie nabędziemy je od Sz. Pani. O odpowiedź bardzo prosimy.

## KOMPLETY HAFTU I TKACTWA ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ WSPÓLPRACOWNICZKĘ DZIAŁU ROBÓT W „BLUSZCZU”.

Informacje telefoniczne do g. 10-ej RANO i od 8 do 5 PP. — TEL. 273-34

**WŁOSÓW** WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ  
ESENCA I MYDŁO  
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).  
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE  
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:  
APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

**HEMOROIDY** CZOPKI  
HEMOROIDALNE „VARICOL”  
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-  
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-  
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —  
APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.  
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNA „KOGUT”

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-  
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.  
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 6, tel. 244-18.

# Nasza Mównica

**P. Ludwika Kamińska — Kraków.**

Chciałabym podzielić się z Czytelniczkami „Bluszczu“ pewnem wrażeniem, które ostatnio odniosłam. Wrażeniem tak miłym i radosnym, a zarazem pełnem podziwu, że muszę je omówić obszerniej.

Tak, jak wiele zapewne z pań, słyszałam i czytałam niejednokrotnie o p. Róży Bailly, wielkiej przyjaciółce Polski, wiedziałam, że pracuje ona intensywnie nad zbliżeniem Polski z Francją i t. p. Czułam zawsze dla niej głęboką wdzięczność, ale, mieszkając na prowincji, mało miałam sposobności poznania bliżej szczegółów tej akcji. Teraz dopiero, od niedawna, u przyjaciół moich, widuję miesięcznik, wydawany przez Towarzystwo Przyjaciół Polski, „Les Amis de la Pologne“, pod tym samym tytułem. I przyznaję, że jestem zdziwiona. Więc aż tak szerokie koła zakreśliła i objęła inicjatywa jednej kobiety! Czytając ten miesięcznik, odnosi się naprawdę bezpośrednie wrażenie tego, co robią „przyjaciele Polski“. Chwilami zdaje mi się, jakbym była z tymi ludźmi, wśród ich pracy, wymiany myśli i wartkiego biegu ich działalności, wprowadzającej odrazu w czyn taką moc planów, pozornie, zdawałoby się, tak nieraz trudnych do urzeczywistnienia. Rozpocząwszy przed dziesięciu mniejwięcej laty, w czasie wojny, propagandę na rzecz Polski, p. Bailly, jedna „słaba“ kobieta, potrafiła zaagitować całe swoje społeczeństwo. Rozumiem dobrze, że francuzi są narodem z jednej strony uspołecznionym, z drugiej — ciekawym i ruchliwym. Nie lubią ospalstwa, inercji, nie lenią się do życia. Niemniej jednak, czyż to nie budzi podziwu, że to społeczeństwo, aczkolwiek związane z nami historyczną tradycją, lecz bądź co bądź tak dalekie, no i, powiedzmy szczerze, traktujące dawniej dość niefrasobliwie i powierzchownie różne geo i etnografje europejskie — dało się swej dzielnej rodaczce tak świetnie zaagitować na rzecz Polski!

A dziś wydawnictwo Przyjaciół Polski drukuje sobie, jakby nigdy nie, jak rzecz najzwyczajniejszą, ot tak, na ostatniej stronie, spis Komitetów i grup regionalnych. I widzimy, że te Komitety, filje centrali paryskiej, znajdują się poprostu wszędzie, w całej Francji. Havre, Marsylja, Lyon, Tuluza, Nantes, Bordeaux, duże, mniejsze i maleńkie miasteczka, niezliczona ilość! W zarządzie tych Komitetów widzimy ministrów, posłów, członków akademji, wojskowych wysokich szarż, profesorów, uczonych, literatów, redaktorów pism, przemysłowców, mężczyzn i kobiety

wszystkich stanów. Z całą żywotnością i zainteresowaniem ludzie ci łączą się w celu poznania naszego kraju i utrzymania z nim przyjacielskiego kontaktu.

— Jesteś paryżaninem? masz czas we wtorki i piątki wieczorem? przychodź do Sorbony, na kursy języka polskiego; mieszkasz na prowincji? Przyjaciele Polski przyślą ci bezpłatnie wykłady, drukowane na maszynie. Język polski nie jest trudniejszy od rosyjskiego lub niemieckiego, a da ci dostęp do skarbów wspaniałej literatury, ułatwi łączność z robotnikami polskimi, których tyle we Francji pracuje i pozwoli dopomóc im i zjednać sobie ich przyjaźń.

Temi słowami zachęca p. Bailly swych rodaków do zapoznania się z Polską, a jak skutecznie! Oto w Politechnice paryskiej, tej uczelni, przodującej, chlubie społeczeństwa francuskiego, zawiązuje się Koło Przyjaciół Polski i z 43 członków, którzy zapisali się odrazu, 25 wstąpiło na kursy języka polskiego, prosząc jednocześnie o wskazanie im adresów studentów w Polsce, pragną bowiem korespondować z kolegami polskimi.

Ostatnio przy uniwersytecie w Lille powstaje katedra języka polskiego z licencjatami filozofji, literatury i nauk praktycznych. Sprawę tę zdecydowała Rada Nauczania Publicznego, a Przyjaciele Polski komunikują z radością o tym fakcie, że Lille jest pierwszym miastem, które wprowadziło urzędową naukę języka polskiego.

Ale to jedna tylko część tej obszernej działalności. Towarzystwo urządza nieustannie konferencje, odczyty, przedstawienia, wieczory towarzyskie w stolicy i w każdym zakątku Francji, nawet w Algierze; tworzy grupy szkolne, organizuje wymianę korespondencji między młodzieżą szkół średnich i wyższych, wycieczki do Polski; wydało pokaźny szereg broszur o historii, literaturze, etnografji Polski, a także tłumaczeń dzieł naszych autorów. Wydaje serje kart pocztowych i albumów miast i krajobrazów, klisz do przezroczy i filmów, urządza nawet... lekcje zbiorowe polskich tańców.

A wszystko to pulsuje życiem, ciągłą wymianą myśli, planów i sumiennem uczestnictwem. Członkowie opłacają regularnie składki, a pozatem co chwila składa któryś z członków lub która z grup jakąś sumę, na nowe wydawnictwa i inne imprezy.

Sam miesięcznik „Les Amis de la Pologne“, świetnie redagowany. Wydano b. piękny numer na dziesięciolecie Polski, obecnie zeszyt styczniowy daje śliczne fotografie, widok Wilna, ilustrację szopki

polskiej, portrety Sieroszewskiego i bohaterskiej legjonistki, Zofji Zawiszanki i wyczerpujące artykuły o Śląsku, o życiu polskiej młodzieży akademickiej, o Sieroszewskim, Hoene-Wrońskim etc. W każdym też prawie numerze znajdujemy rozumowane wskazówki bibliograficzne, pouczające francuzów o najcelniejszych dziełach naszej literatury z dodaniem, które z tych książek wyszły w tłumaczeniu francuskim, a tych ostatnich jest już dużo (oby jaknajprędzej znalazł się wśród nich „Świat Kobiety“ Grossek-Koryckiej — to moje gorące życzenie, aby francuzi mogli zapoznać się z tem arcydziełem pióra kobiety polskiej!), tak, że istotnie otwierają one naszym przyjaciółom, w myśl słów p. Bailly, dostęp do skarbów literatury polskiej.

Wszystko to jest doprawdy radośnie zadziwiający. Śmiało powiedzieć można, że *piwszy to raz* w historii narodów zdarza się tego rodzaju akcja — nie zwykłych, dotychczasowych potęg — dyplomacji lub handlu — lecz samego społeczeństwa. Akcja poznania się i przyjaźni.

A jednocześnie my, kobiety, jakże dumne być możemy, że inicjatywę tej przepięknej, nowej przyjaźni ludów podjęła i przeprowadziła kobieta!

I jaki stanowi to dowód duchowej potęgi kobiety, ożywionej cudnem umiłowaniem ludzkości.

Ale wszystko to zasługuje na gorący oddźwięk z naszej strony, nas właśnie, kobiet „szarej“ masy społecznej. P. Róża Bailly była podczas swych odwiedzin w Polsce przyjmowana przez naszych urzędowych przedstawicieli, rząd, posłów, literatów; słuchano jej na odczytach, nie szczędzono naturalnie ze wszystkich stron dowodów sympatji i uznania, ale to nie wszystko jeszcze. Nie każdy miał sposobność pójść na jej odczyt lub z nią się zapoznać, ale wszyscy powinniśmy starać się utrzymać stałą łączność z nią i jej działalnością. Panie, zwłaszcza znające język francuski (choć nie jest to konieczne, bo nasza przyjaciółka umie po polsku), powinny pisywać do niej, donosić o różnych sprawach krajowych, zachęcać młodzież do wymiany korespondencji z młodzieżą francuską, informować się i zapoznawać z Francją, Tow. Przyjaciół Polski i t. p. Będzie to dowodem, że nie patrzymy obojętnie na te, tak żywotne i szczerze objawy sympatji społeczeństwa francuskiego, lecz i sami z niem współdziałamy. Wtedy wytworzy się porozumienie trwałe i czynne, które napewno obu społeczeństwom przyniesie nieobliczalne korzyści.

## **P. P. woj. lubelskie.**

Smutne, ale prawdziwe zjawisko, że my, kobiety, odznaczamy się ogromnym brakiem solidarności. Nie wiem czy wszystkie moje siostryzycy odczuwają to w równym ze mną stopniu? Ja, niestety — tak, mieszkając w powiatowym małym miasteczku, gdzie to jeden drugiego zna dokładnie, pomijając oczywiście poznanie samego siebie. Wszak lepiej mówić o swojej sąsiadce i przypinać jej łatki, jak poddać siebie sa-

mego krytyce. Zwykle w swoim oku nie widzi się belki — mówi stare przysłowie, któremu z przykrością musimy przyznać słusność. Otóż mieszkając w takim miasteczku, schludnem i miłym, mówiąc nawiasem, mam możność obserwować doskonale współżycie kobiet. Przedstawia się ono bardzo szaro. Jako przykład, opiszę smutny fakt, który miał tu miejsce. W związku z mającą się odbyć P. W. K. w Poznaniu. Chodziło o zorganizowanie powiatowego komitetu, który zająłby się zebraniem eksponatów na powyższą wystawę, sprzedażą żetonów, zainteresowaniem szerszego społeczeństwa i pouczeniem wreszcie tych, którzy nie zdają sobie sprawy z doniosłości zadania. Zebranie zwoływane było trzy razy, zawsze z bardzo marnym wynikiem. Z zaproszonych 100 pań — przychodziło zazwyczaj 20, 25 lub maximum 30. Z pośród zebranych należało wyłonić zarząd, należało dokonać podziału pracy; oczywiście, nie wszystkie mogły się podjąć różnych czynności, będąc związane obowiązkami domowymi, pracą w biurze lub szkole, lecz w miarę możliwości i sił będą pracowały. Gdzie była reszta zaproszonych? Jaka przyczyna niezjawienia się na zebranie? Przyczyny bardzo różne. Przede wszystkim; za trzy godziny miał być bal; po drugie, zebranie zwoływała kobieta. „Cóż ona może mi powiedzieć? Ja i sama o tem wiem“, słyszało się zdania. „O, bo jej wszędzie pełno! chce, żeby ją obrano przewodniczącą; wolę pójść na spacer, jak trawic czas na zebraniu“, mówi inna. Te i tym podobne uwagi obijały się o uszy. Na zebranie więc zjawily się tylko panie, które poniekąd z uszczerbkiem dla swych obowiązków, poświęciły parę godzin dla pracy społecznej, przyszły szare pionki bez tytułów. Uprzywilejowanych zawsze brak, o ile chodzi o pracę społeczną; godnie natomiast reprezentują wszystkie bałe, prześcigając się w doborze tualet, oraz w klubie przy zielonych stolikach, w tumanach dymu z papierosów, nie szczędząc przy tej okazji złośliwych uwag na temat swoich znajomych. „Pani X była brzydko ubrana, a pani Y źle wyglądała i fatalnie się bawiła, a panna Z nie wychodzi z zamąż, a już dawno to powinna uczynić: widocznie nikt jej nie chce!“.

I płyną godziny na bezcelowych i głupich gawędach. Pisząc powyższe, nie mam, broń Boże, na myśli krytyki bali i dancingów. Owszem, jestem wielką zwolenniczką zabaw, lubię zebrania towarzyskie, lubię gawędy, ale przede wszystkim, przede wszystkim pomyśleć należy o obowiązkach społecznych. My, kobiety, winnyśmy przodować w tych pracach, aby zadać kłam złośliwym uwagom płci brzydkiej, że zdolne jesteśmy tylko do plotek, flirtów i zabaw. Nauczmy się połączyć przyjemne z pożytecznem, zabawę z zyskiem na dobry cel. Apeluję tu w pierwszym rzędzie do kobiet, które, nie potrzebując pracować na utrzymanie, mają więcej wolnego czasu: niech staną solidarnie do pracy społecznej, niech zaprawiają do niej szerszy ogół, niech składają te skromne ofiary na ołtarzu Ojczyzny, a wówczas znikną złośliwe ploteczki, znikną intrygi towarzyskie i zniknie gnuśne i ponure uskarżanie się na nudy, narzekanie na prowincję, wzdychanie do większego miasta.



Śmiało rzec można, że połowa zacofania, ospałości, niechlujstwa i braku inicjatywy naszych małych miast i miasteczek zniknęłaby z ich powierzchni, gdyby wzięły się tam do czynu kobiety. Ale nie tylko biedne pracownice, odkradające godziny wypoczynku dla pracy społecznej, lecz również, i to wydatnie, kobiety zamożne, rozporządzające czasem, środkami a nierzadko, co wcale nie najmniejsze ma znaczenie — wpływami stanowiska. Te mają równe z nami obowiązki, a o ileż łatwiej im je wykonać! A przecież, czy dla biednej, czy dla bogatej, czy w stolicy, czy w najmniejszym miasteczku — jednaka jest Polska i jednakię wymaga od nas pracy i miłości.

#### **P. Marja z nad Warty w odpowiedzi pani E. M. z Wilna.**

Wprowadzony dział „Mównicy“ przyjęty został z wielkiem i słusznem uznaniem. Nie chcąc powtarzać wymienionych już zalet, dodam, że w wielu wypadkach przyniesie ukojenie nieszczęśliwym i tym, co czują za inne. Są bóle, o których nie mówi się najbliższym, by ich nie smucić, obcym — ambicja nie pozwala. Dziś o tyle lepiej, że zdobywają się kobiety na cywilną odwagę głośnej myśli, głośnej skargi, a za tem pójdą i żądania wymiaru sprawiedliwości.

Idąc w kierunku myśli, rzuconych o niedoli kobiety, wciągniętej w kierat codziennych, drobnych obowiązków, trudno pominąć kwestję małżeństwa. Nie jestem antagonistką mężczyzn, przeciwnie, lubię ich, bo pod wielu względami są więcej wari. Jednakże jest między nimi sporo tak zwanych krokodyli, którymiby można drogę do piekła wybrukować. Mam nadzieję, że nasz przyjaciel „Bluszcz“, między obcaneami ankietami ogłosi np. „Jakim powinien być dobry mąż?“, a może i królowie tego świata (jeszcze nie zdetronizowani) wypowiedzą się, jaką winna być dobra żona!

Małżeństwo jest to poprostu los na loterji: wygrywa się, lub przegrywa. Chcąc być bezstronną, trzeba przyznać, że nie zawsze ofiarą bywa kobieta: często i mężczyzna ponosi konsekwencje niedobranego małżeństwa. Kobieta normalna największe szczęście znajdzie w otoczeniu rodziny, kochając i będąc kochaną. Żadne obowiązki nie są za ciężkie dla kobiety, gdy jest otoczona serdeczną i życzliwą atmosferą. Nawet jednostki genjalne, sądząc, że ramy życia rodzinnego są dla nich za ciasne, miewają chwile tęsknoty za szczęściem domowego ogniska. Samo prawo natury ku temu kobietę pociąga. Typ dzisiejszej kobiety, może nawet za liczny, który uważa równouprawnienie jako naśladownictwo mężczyzny, jest przejściowy; obok niego mamy całe legjony szermierki o prawo kobiety-człowieka. I te właśnie przyczynią się do polepszenia losu kobiety dobrej, a skrzywdzonej. Drugi typ kobiety, pracownicy pozadomowej, a obciążonej całkowitą odpowiedzialnością za ład domowy, musi zniknąć z widowni życia. Jest to ponad siły fizyczne i moralne jednostki.

Jak prawdziwe są te wszystkie drobiazgi poruszone przez Panią M! Te maleńkie, niewidoczne, codzienne obowiązki, żrące duszę na strzępy! Niema nic smutniejszego na świecie, nad rozstrząsanie psychicznego życia kobiety nieszczęśliwej w małżeństwie. Krzywdy bywają różnorodne i indywidualnie odczuwane: to, co dla jednej będzie złośliwym ukąszeniem, dla innej — tragedją na całe życie. Temat to tak obszerny i bolesny, że trudno go streścić. I co zadziwiające, że prawie zawsze kobiety pierwsze potępią taką nieszczęśliwą, czyniąc ją winną i odpowiedzialną. Potępi ją prawo, potępią najbliżsi, a często własne córki, rzadziej — synowie. Ta krzywda kobieca jest ogólną: ani dobrobyt, ani sfera, ani stanowisko, nie absolutnie niedoli nie zmienia. W wielu wypadkach dobrobyt umożliwia zapełnienie sobie życia pracą społeczną lub twórczą, co daje chwile zapomnienia. Lecz czy ten deptak pracy kobiecej w rodzinie, zwykle przez mężczyzn tak bagatelizowany i uważany za mocno nieprodukcyjny, składa się z jednego pokoiku, dwóch czy kilku — różnica niewielka. Polega ona głównie na tem, że w tym maleńkim trzeba wszystko zrobić własnoręcznie, w tym dużym, chcąc spełnić sumiennie obowiązki, myśleć z natężeniem pracuje, aby umiejętnie kierować, pilnować i być odpowiedzialną zawsze i wszędzie i być winną za każdą źle wykonaną czynność. A przecież praca domowa wymaga fachowości, jak każde inne zajęcie i jest tem trudniejsza, że różnorodna. Kobiety rozumieją, że pierwszym obowiązkiem, jaki wkłada życie, jest praca i od niej się nie uchylają. Ale muszą mieć przerwę odpoczynku i swobodnej chwili.

Stawiam wniosek, aby żądać należytego ocenienia pracy, obowiązków i odpowiedzialności kobiety w kołowrocie domowych zajęć.

W pierwszym rzędzie same kobiety wypracowały sobie taką smutną rzeczywistość. „Mea culpa!“ rzec muszą całe ich pokolenia. Od dzieciństwa chłopcy stanowią odrębny, jakoby wyższy świat, stawiani niby bóstwa na piedestale. Taki żywy obrazek, Anulki i braciszka przedstawiony przez panią M., jak świetnie charakteryzuje stan rzeczy! Nie potrzeba komentarzy. I cóż dziwnego, że ten chłopiec, jako mąż, czuje się w obowiązku wykazywać swą wyższość nad żoną, choć jest często miernotą lub zerem. Czyż taki człowiek jest w stanie zrozumieć troski, kłopoty i zabiegi żony, a czasem pocieszyć jej smutną duszę? Czy w takim nastroju małżeńskim kobieta może znaleźć szczęście? Dwa zasadnicze punkty stanowią o szczęściu w małżeństwie: Jeśli zespolą się obustronnie uczucie z przyjaźnią. Zaznaczyć należy jeszcze tę różnicę, że kobieta przeważnie zrezygnuje z męża-kochanka na korzyść męża-przyjaciela. Mężczyzna zaś przeciwnie, gdy popada w niewolę zmysłów, będzie kornym niewolnikiem i pozwoli się tyranizować. W każdym innym wypadku on będzie tyranizował. Winą nie wolno jednakże tylko jego obarczać, na to składała się cała przeszłość.

Dlaczego jednak słyszymy tak często zdanie, że szczęście w rodzinie jest w rękach kobiety? Na czem to polega? Te, które się zastanawiały lub umieją do-

brze obserwować, musiały dojść do przekonania, że harmonja pozorna lub rzeczywista, to tak zwane przez ogół szczęście domowego ogniska, zbudowane zostało na gruzach zburzonego intelektu jednej strony, przyczem najczęściej bywa ofiarą kobieta. Ona to najczęściej wyzbywa się swego ja, wszelkich pragnień, dążeń i żądań, i wtedy jest dobrze!

A jeśli nie potrafi nagiąć się i zabić w sobie indywidualizmu, jeśli wyrwie się jej głos skargi lub buntu, wtedy cichy raj zamienia się w piekło. I tak będzie, dopóki nie wychowamy inaczej młodego pokolenia, dopóki mężczyzna nie nauczy się szanować pracy kobiecej, zarówno domowej, jak i zarobkowej i kobiecej indywidualności. Tymczasem nie pozostaje nic, prócz cierpliwości i wytrwania. W chwilach rozterki duchowej dobra książka może szarą rzeczywistość rozślonecznić. Warto polecić „Świat Kobiecy“ Grossek-Koryckiej. Nikt jeszcze dotychczas tak subtelnie i głęboko nie zanalizował duszy i doli kobiecej, jak ta nieodżałowana, wielka autorka.

**P. Zofja Persowska—Bytoń n. Szczarą—pow.  
Słoniem w odpowiedzi p. W. Tropaczyńskiej.**

Z radosnem zaciekawieniem odczytuję listy umieszczane w „Naszej Mównicy“ i zdaje mi się, że to jest najlepsza droga do poznania się wzajemnego, z którego tak łatwo wywiąże się przyjaźń tak, że stać się będziemy mogły jakby jedną, wielką rodziną, związaną sympatją i zainteresowaniem wzajemnem. Więc poznamy się — i to poznamy prawdziwie — w najtajniejszych drgnięciach jaźni — w skrytej przed samą sobą tęsknocie, w radości i smutku, w triumfie i doświadczeniach bolesnych, z których składa się życie każdej kobiety, choćby była najbardziej współczesnie samodzielną!!

A poznanie to gdy uczyni bliskimi dusze, zjednoczy i serca.

Wówczas trwała i mocną stanie się federacja związków kobiet samotnie pracujących, o której pisze p. Tropaczyńska, i wówczas kobiety znajdą w takim zrzeszeniu nie tylko ochronę, nie tylko zachętę i pomoc — ale i „ognisko siostrzanego ciepła i zrozumienia“.

Jednak — według mnie — nastąpi to tylko wtedy, gdy kamieniem węgielnym zrzeszenia będzie serce, to serce, które w każdej piersi kobiecej żyje, niezależnie od tego, czy to jest „samotna“, czy żona i matka.

I mam wrażenie, że nie pierścień ślubny, nawet nie posiadanie dzieci, zdejmuje z kobiety piętno samotności, ale miłość. Tak, nie waham się przed umieszczeniem tego wyrazu, dzisiaj niestety niemilosierdzie nadużywanego. Mam na myśli tę ogromną, dla której jeżeli istnieje więcej osobisty początek, niema kresu — gdyż altruistycznie obejmując wszystko i wszystkich — wszędzie rozpozna i uszanuje człowieka.

Nie jest to utopją — czemś przechodzącym siły ludzkie, siły kobiece — wszak wiemy i tylekroć stwierdziło to życie, że „człowiek, któryby posiadał największy genjusz bez odrobiny miłości bliźniego — byłby bardziej samotny, niż błądzący w przestrzeni meteor“. Jeżeli i sława nie potrafi zapełnić pustki serca, jakże potrzebne jest owo uczucie nam zwyczajnym, przeciętnym kobietom! nam, którym kaśliwe przypominki-plotki, niezrozumienie, tak bardzo psują życie! A przyczyną tego najczęściej — miejmy odwagę się przyznać — my same, te, którym się zawierzyło, którym w chwili depresji czy przez poryw ufnej szczerości otworzyło się duszę, no — bo jakżeżby inaczej być mogło — gdy się wspólnie pracuje i — często nawet — razem mieszka!

Sama byłam świadkiem takich jadowitych uwag, pełnych ubolewającego wyrozumienia, jakie najserdeczniejsza — według opinji publicznej — przyjaciółka wygłaszała o swej współlokatorce i koleżance w zawodzie, dominując nad nią niby trzeźwością poglądów i sądu!

Tak postępują często kobiety z pewnem wykształceniem i mające pretensję do inteligencji, bo zawiść zatruwa duszę kobiecą!

Ale jak w takich warunkach myśleć o zrzeszeniu się?! I czy będzie ono istotnie serdeczne, szczere, trwale, wartościowe?!

Zdaje mi się, że tylko dusze, moralnie wolne, przenikające się wzajem intuicyjnie i intelektualnie promieniejące zdolne byłyby do takiego, siostrzanego współdziałania. Rozumiejąc dobrze, iż to może moje tylko danej kwestji ujęcie, daleka również od chęci narzucania komuś swego zdania, cieszyłabym się bardzo, gdyby któraś z pań, więcej doświadczona, zechciała wypowiedzieć się w tej kwestji. Wszechstronne i krytyczne spojrzenie w głąb czynu czy działania, prosto z życia ujętego w słowa, pozwoli objąć całość kształtu sprawy, wskaże drogi, najlepiej i najpewniej wiodące do celu. A czyż nie warto się potrudzić w walce o własne dobro, o prawo do szczęścia serca dziś jeszcze „samotnego“, rzuconego na pastwę bezmimicznych, jałowych tęsknot?

Pomóżcie siostry! niech skończy się raz niedola!... Niech wspólna refleksja i głos jej tętniący miłością obudzi słabe i senne i zjednoczy w pracy dla wspólnego dobra.

**DO CZYTELNICZEK**

Szanowne Czytelniczki, przysyłające listy do „Mównicy“, prosimy, aby zechciały pisać je tylko na jednej stronie arkusza, jest to bowiem konieczne przy drukowaniu rękopisów. Prosimy również o pismo jak najwyraźniejsze i z niezbyt wąskimi odstępami między jednym a drugim wierszem. Tekst, w którym wiersze wchodzą prawie na siebie, jak się to często zdarza, zwłaszcza przy „modnem“ wysokiem piśmie, jest ogromnem utrudnieniem dla cecera. Należy również zostawiać niewielki choć margines, aby w razie potrzeby jakiejś drobnej, stylistycznej poprawki, było gdzie ją zmieścić. Redakcja